

Grey Scale #13



DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Uniwersytet zoinloty
D. O. Gen. Pezosa

HISTORYA

1^{go} potem 9^{go} Pułku

WIELKIEGO KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO

NAPISANA PRZEZ

KOZŁOWSKIEGO,
KAPITANA GRENADYER W WŁASNYM PUŁKU,
A PÓŹNIEJ KAPITANA INWALIDÓW.

KRAKÓW.

skiego. J. K. Żupański & K. J. Heumann.
1887.

E 703



Colour Chart #13

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black

Centimetres

Inches

DANES PICTA .COM

Uniwersytet Zaimortelny
D. O. Gen. Poznań

HISTORYA

1^{go} potem 9^{go} Pułku

WIELKIEGO KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO

NAPISANA PRZEZ

KOZŁOWSKIEGO,
KAPITANA GREZADYER W WEGOŻ PUŁKU,
A PÓZNIJ KAPITANA INWALIDÓW.



E 703

KRAKÓW.
skiego. | J. K. Żupański & K. J. Heumann.
1887.

Do Czytelnika!

1. Książka jest własnością Państwa Polskiego.
2. Chcesz być dobrym synem Ojczyzny, to uszanuj książkę zakupioną dla Ciebie przez Skarb Polski, bo to własność całego Narodu, a więc i twoja. Zważ przytem, że książka w dzisiejszych czasach kosztuje bardzo drogo.
3. Przed wypożyczeniem książki musisz ją obejrzeć, czy nie jest zniszczona.
4. Jeżeli zauważysz jakiegokolwiek zniszczenie, zamelduj o tem bibliotekarzowi, gdybyś bowiem zaniedbał to uczynić, byłbyś za to zniszczenie przy oddaniu książki odpowiedzialny.
5. Za zniszczone i zgubione książki płacić musisz wartość nominalną.
6. Książki nie wolno przetrzymywać u siebie bez potrzeby. Podczas gdy ona leży u Ciebie bez pożytku, twój kolega mógłby w tym czasie z niej korzystać.
7. Wymieniaj książki regularnie i nie zaniedbuj tej sposobności do nabycia wiadomości potrzebnych ci w życiu i zawodzie.
8. Czytaj rozważnie. Zapamiętaj tytuł i autora książki i zrób kilka krotkich notatek w twoim notesie co do jej treści, byś mógł później wrócić myślą do przeczytanej książki i wyciągnąć z niej jak największe korzyści.
W książce czytanej nie wolno robić notatek.
9. Gdy się tak czytać nauczysz, książka będzie dla Ciebie najmiłym wypoczynkiem po służbie, oraz rozrywką w wolnych chwilach.

**Kierownictwo
Uniwersytetów Żołnierskich
D. O. Gen. Poznań.**

~~Uniwersytet Żołnierski
D. O. Gen. Poznań~~

HISTORIA

1^{go} potem 9^{go} Pułku

WIELKIEGO KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO

NAPISANA PRZEZ

KOZŁOWSKIEGO,
KAPITANA GRENADYERÓW TEGOŻ PUŁKU,
A PÓŹNIEJ KAPITANA INWALIDÓW.



POZNAŃ.

Nakład J. K. Żupańskiego.

KRAKÓW.

J. K. Żupański & K. J. Heumann.

1887.

Eigentum
Keesarsarchiv - Zweigstelle
Danzig

E 703

2. Ex.

355.91(438)

~~BIBLIOTEKA ŻOŁNIERSKA
16/2 P. UL. WLKP.~~

Biblioteka Wojskowa 16 p. Ul. Wlkp.
Nr. inw. II. 61

~~1433879~~



31715/2

Eigent.
Kriegesarchiv - Zweigstelle
Bamberg



OCZKONKAMI DRUKARNI KURYERA POZNAŃSKIEGO.

Od wydawcy.

Będąc w posiadaniu manuskryptu pamiętników śp. kapitana Kozłowskiego, zawierających historią 9-go pułku piechoty W. Ks. Warszawskiego, publikuję takowe w nadziei, że wydawnictwem tém, zawierającém wiele ciekawych a nieznanych dotąd szczegółów, przyczynię się do dokładniejszego poznania dziejów wojsk polskich w służbie Napoleona I-go. Zachowałem w takó-wém pisownią autora, która szorstka cokolwiek, więcej zdradza żołnierza niż literata, z tego powodu, ażeby dziełu temu pozostawić oryginalny charakter pierwotny, z jakim ukazało się z pod pióra autora.

Poznań, w Maju 1887.

Wydawca.

Gdy zwycięskie wojska francuzkie w 1806 roku zbliżały się do granic drogiej Polakom Ojczyzny, zaczęli ocierać łzy, które jeszcze na ich licach nie-oschły, od owego straszliwego dla nich czasu, gdy Polska nad wszystko Polakowi droższa, nietylko podzielona, ale nawet z listy narodów wymazaną została. Tak jest, ocierali łzy, więcej powiem, zaczęli się wzajemnie pocieszać i rozweselać prawdziwie, bo mieli nadzieję że przyszedł dla nich pożądany czas, w którym swe siły łączyć powinni z siłami wówczas wielkiego zwycięzcy, który zdawał się podawać im swoje zwycięskie dłonie, dla podźwignienia wspólnymi siłami nieszczęśliwego narodu Polskiego.

Polacy wówczas, którzy zawsze najprzód Boga, potem swoją Ojczyznę z całego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił swoich kochają, Polacy mówię

wówczas (podług ich przekonania) na odezwę generała Dąbrowskiego, który w Imieniu Ojczyzny do nich przemówił, zaczęli się ze wszystkich stron gromadzić, niosąc siebie i swoje majątki na ofiarę ukochanej Ojczyźnie, którą spodziewali się nie tylko podźwignąć i już podzieloną zjednoczyć, ale podźwignioną ustalić i jeżeli nienazawsze, przynajmniej na długi czas od upadku zabezpieczyć¹).

Taką nadzieją i przekonaniem pobudzona cała młodzież Polska zaczęła się z żywością i całą gorliwością gromadzić najprzód w Wielkiej Polsce, bo ta prowincya była pierwsza, co za pomocą Francuzów zrzuciła z siebie jarzmo przemocą na nią przed czternastu laty włożone²).

Młodzi i dojrzałego wieku Polacy z okolic dawnego województwa Gnieźnieńskiego, niedali się kochanym swoim współbraciom z innych województw wyprzedzić i gromadząc się jak najspieszniej, uzyskali dla pułku, pod którego chorągwie zebrali się Nr. 1-go pułku.

O tym to pułku szczególnie mówić będę i jego historją o ile siły pozwolą moje, opiszę bezstronną prawdą, mając na celu pułk 1-szy. Pułk ten zaczął się organizować w Gnieźnie w miesiącu listopadzie. Do organizacyi jego był przeznaczony generał Niemojowski i pułkownik Mojaczewski. Aktualnym zaś pułkownikiem był książę ordynat Antoni Suł-

kowski, naówczas młodzieniec, ale prawdziwie gorliwy Polak³⁾.

Pierwszy batalion, ile możność i słotna zima pozwalała, wymusztrowany i dobrze odziany, 15 Stycznia 1807 roku⁴⁾ wyszedł ku nieprzyjacielowi pod dowództwem podpułkownika Muchowskiego.

Był to mąż podeszłego wieku, powolny w postępowaniu, z gorliwością młodzieńca wziął oręż dla bronienia Ojczyzny.

Pod tego męża dowództwem przechodziliśmy przez pamiętną w historyi Gąsawę, które to miasteczko przypominało młodzieży naszej zdradę Brandenburczyków na jednym z dawnych monarchów Polskich chytrze wykonaną, i pobudzało ją do pomszczenia się dawnej krzywdy i niedawnego najazdu⁵⁾.

Pod Bydgoszczą złączyliśmy się z trzema innymi batalionami także świeżo uformowanymi, to jest 2, 3 i 4-go podtenczas pułku.

Te cztery bataliony jeszcze bez patrolaszów i tornistrów były uzbrojone w broń w Berlinie zabraną z długim na półtora łokcia bagnetem.

Tak połączeni weszliśmy do Bydgoszczy a na naszym czele dobrze zasłużony Ojczyźnie generał Dąbrowski.

Odpczawszy w tem mieście, wykonał ten generał rewia, tych tak spieszenie uformowanych bata-

lionów. Gdy się pokazał przed frontem, młodzi wojownicy ożywili tem bardziej swoją odwagę, nietylko przytomnością tego doświadczonego męża, ale i przypomnieniem że przed kilkunastu laty, pod dowództwem tego walecznego generała i towarzysza jego odważnego generała Madalińskiego pokonali Polacy w tem samym mieście okrutnego Szekelego, który z wojskiem pruskim po barbarzyńsku spustoszył ziemię kujawską. Tem meżtwem ożywieni ruszyliśmy ku Gdańskowi. Stanęliśmy najprzód w Świeciu nad Wisłą⁶).

Potem poszliśmy do Neuenburga (Nowego), ztamtąd do Gniewu.

Robiliśmy różne marsze stósownie do planów wojskowych, jakie sobie nasz generał zakreślił i jakich wymagały obroty nieprzyjacielskie, który nietylko przed nami ale i po flankach naszych się kręcił. Po rozmaitych marszach przyśliśmy znowu do Świecia i tam połączył się z nami drugi batalion 1-go pułku naszego.

W tym samym czasie i inne bataliony drugie połączyły się z pierwszymi batalionami swoimi.

Tu trzeba nadmienić, że i kawalerya polska, która się również na prędce w województwach Gnieźnieńskim i Poznańskim zebrała i własnym kosztem uzbroiła i ubrała, po większej części znajdowała się z nami. Dotąd prócz małych utarczek

z kawaleryą nie zaszło nic ważnego. Wspomnieć tu należy o jednej z ważniejszych z rozkazu jenerała Dąbrowskiego.

Pułkownicy Dziewanowski i Umiński (z swoimi oddziałami kawaleryi) i kompania strzelców pieszych, którą uformował i po większej części ubrał i uzbroił swoim kosztem młody ale dzielny Polak, kapitan Gołaszewski, posunęli się pod Czczewo nad Wisłą. Znalazłszy nieprzyjaciela w tem mieście, stoczyli z nim walkę i zwyciężyli zabrawszy w niewolę parę set ludzi. Ufni temu szczęściu dowódcy polscy, pozwolili za długo wypoczywać kawaleryi swojej, nie pomni że się znajdują wśród Niemców i niedaleko Gdańska, do której fortecy nieprzyjaciel zgromadził swe siły. Prusacy w Gdańsku uwiadomieni od szpiegów o niebezpieczeństwie swoich i o małej sile Polaków (bo siła nasza i główna kwatera nowego wojska znajdowała się w Gniewie) wysłali prędką odsiecz swoim. Ci napadłszy na tę małą garstkę naszych, nietylko swych niewolników odbili, ale i naszych z miasta wyrugowawszy do odwrotu przymusili.

Kapitan Gołaszewski młodzieniec 19-to czy 20 letni stał z swoimi strzelcami na stójce za miastem i lubo dokazywał cudów mężstwa z swoją kompanią, uledz musiał przemagającej sile; tyle jednak dokazał że kawalerya nasza miała czas zrejterowania.

Mężny zaś ów młodzieniec jak ów spartańczyk niechcąc przyjąć pardonu, porąbany i pokłuty śmiertelnie, dostał się z większą połową swojej kompanii do niewoli, w której wkrótce z nieuleczonych ran umarł, zostawiwszy u swoich nieutulony żal — a u nieprzyjaciela wielkie zadziwienie i tę uwagę ile młody bohater prawdziwie kochający Ojczyznę dokazać może⁷).

Po tym wypadku Czczewskim, Prusacy obsadzili mocnym garnizonem to miasto, posłali tam i artylerją z kilku polowych armat złożoną, oraz kawaleryi szwadron czy więcej. Po takim wzmocnieniu zdawało się nieprzyjacielowi, że Polacy z nowo zebranych i niedoświadczonych żołnierzem, chociaż mają na czele znanego z męstwa i biegłego w obrotach generała, nieodważą się bez pomocy Francuzów uderzyć na to miasteczko, które uważali za przedmurze Gdańska.

Od strony południowej, oprócz wiekami nadrujnowanego starożytnego muru, niema to miasto innej obrony; od strony jednak Wisły dla wysokich brzegów tej rzeki jest niedostępne, od zachodu i południa ma piękną równinę, na której za małemi baterjami postawiwszy armaty, można zdaleka sięgać nieprzyjaciela i bronić przystępu atakującym. Od północy miało Gdańsk i nieprzerwaną jeszcze z tą fortecą komunikacją.

W takim jest położeniu Czczewo, a garnizon pruski przeznaczony na obronę jego, porobił gdzie mniemał w różnych miejscach przekopy i zatara-sował wozami i gnojem bramy, aby się zabezpieczyć przed niedoświadczonem ale mężnem wojskiem polskiem.

Znali dobrze Prusacy, że Polacy tak kochają swoją Ojczyznę, zagrzani jej miłością że i nie zważają na żadne niebezpieczeństwa ani przeszkody.

Przekonani byli i o tem, że dobra sprawa była przy Polakach, którzy jedynie dla tego wzięli się do oręża aby bronić od tylu lat najeżdżanej i na ostatku podzielonej Polski, która każdemu nawet najbiedniejszemu Polakowi jest najdroższą, bo od nie-pamiętnych czasów jego przodków krainą.

W tym stanie były rzeczy gdy pułk 1-szy i inne trzy Wielkopolskie pułki połączyły się z swoimi drugimi batalionami.

Jenerał Dąbrowski znając ducha swego nowego wojska, przekonawszy się o chęci jego do walki, umyślił wziąć Czczewo i wyparować nieprzyjaciela pod same wały fortecy Gdańskiej, nim francuzkie wojska w dostatecznej sile do oblegania Gdańska nadsięgną. Był to pomysł wielki i śmiały, godny jenerała polskiego. Chciał on tym czynem przekonać Francuzów, jakich przez wtargnięcie do Polski,

zyskali w Polakach sprzymierzeńców, że godni jesteśmy niepodległości i narodowego bytu.

Na cztery czy pięć dni przed wykonaniem swojego planu wysłał kompanie wołyżerskie swoich czterech pułków pieszych i nieco kawaleryi pod same mury Czczewa, a sam z całą swoją siłą, rozłożył się w tyle swęj przedniej straży. Muszę tu nadmienić, że przybliżywszy się pod Czczewo, byliśmy prawie bez ładunków, bo każdy żołnierz nie miał ich więcej jak 9 a i tych niemógł zabezpieczyć przed deszczem, bośmy patrontaszów niemieli, ani skórzanych tornistrów, każdy musiał je chować jak mógł, aby nie zamokły a czas był dżdżysty. W całym naszym wojsku kilka tylko było sztuk armat małego kalibru.

Dnia 20 lutego jak się tylko dzień rozjaśnił, z całą siłą Polaków, stanął generał Dąbrowski na równinach Czczewa pod samemi murami i natychmiast posłał pułk 1-szy od strony Wisły, pułki 2, 3 i 4 od południa i zachodu, z rozkazem aby się wszelkimi sposobami wdzierali do miasta. Wystąpili przeciwko nam Prusacy, przed mury z armatami i gdyśmy byli opodał, kulami, a gdyśmy się zbliżyli kartaczami razili nas niezmiernie. Lecz gdy wołyżery 1-go pułku pędem prawie zbliżyli się na mały wystrzał karabinowy, od strony Wisły pod artyleryę, i zaczęli ją razić ogniem karabinowym,

a z drugiej strony pułk w kolumnach więcej jak podwójnym krokiem coraz się zbliżał, umknęli natychmiast Prusacy do miasta, i zatarasowali bramę. Tym sposobem opanowaliśmy w momencie przedmieście od Wisły. Po wzięciu przedmieścia przysłał nam generał jedną armatę, ażeby bramę zrujnować, którą kulami poczęści zmarnowawszy, poczęści resztę siekierami zniszczyli żołnierze i wyłom zrobili.

Gdy się to działo przy bramie Wiślanej, żołnierze nasi w innych miejscach wdzierali się jak mogli na mury i ręcznym ogniem razili nieprzyjaciela w mieście.

Od zachodu i południa tak samo różnymi sposobami wdzierały się pułki nasze do miasta.

Koło godziny 1-jej już byliśmy panami całego miasta, i zabraliśmy prawie cały garnizon w niewolę prócz małej części żołnierzy, którzy potrafili umknąć pod zasłoną brzegów Wiślanych, od strony wschodnio-północnej.

Można śmiało powiedzieć, żeśmy zdobyli to miasto bagnetem, bo prócz téj jednéj armaty jak wyżej nadmienilem, nieużyliśmy więcej artyleryi, a to dla téj jak się zdaje przyczyny, że generał chociaż miał więcej arnat, te musiał postawić za miastem od strony Gdańska, bo się spodziewał mocnej odsieczy od strony fortecy.

Przy tych armatach uszykował się do boju pułk czyli batalion legionu północnego, który był uformowany z ochotników Polaków, którzy się dostali z wojska pruskiego do niewoli francuskiej. Ten jedyny pułk, czy batalion (tego niewiem) był złożony z wyćwiczonego żołnierza ale do zdobywania miasta nie należał⁸⁾.

Ziściło się przewidywanie generała. Ledwo co wziętem zostało miasto, przybył mocny posiłek z kilku armatami z Gdańska; ale natrafił na Polaków na mocnem stanowisku przygotowanych do ich przyjęcia. Zaczęła się walka z obu stron żwawa.

Prusacy ufni w swą artylerją, myśleli że od razu złamią szeregi z nowych i niedoświadczonych żołnierzy złożone. Prawda że prócz batalionu północnego, reszta walczących była nowem wojskiem, ale przejęte nadzieją, odzyskania utraconej Ojczyzny, pokazali w tym boju że są godni być wolnym i niepodległym narodem. Zwycięstwo poznało w tej walce wnuków przed laty ulubionych przez siebie Polaków, i niewachając się chwili przeszło na naszą stronę⁹⁾.

Dumni Prusacy cofnęli się ze wstydem i znaczną stratą. I gdyby żołnierz pieszy, osobliwie kawalerya nie była znużona a liczba jej większą, nadto gdyby nasz generał był miał choć z parę armat artylerji konnej, byliby Prusacy, mimo zo-

stawionego na odwodzie posiłku niezdażyli uciec pod najeżone działami wały fortecy Gdańskiej. Po tem zwycięztwie zamknęła się pruska дума w mocnych fortyfikacjach Gdańska i porażona nie ważyła się więcej stawiać czoła niedoświadczonym ale mężnym Polakom.

Wzięcie Czczewa i ta walka za miastem dosyć kosztowały Polaków. Jenerał Dąbrowski w nogę a syn jego pułkownik w rękę od kul karabinowych odebrali rany.

Z czterech zaś pułków wyżej wymienionych najwięcej ucierpiał pułk 1-szy. Kilkunastu oficerów było zranionych. Między niemi szef batalionu Muchowski, który w sędziwe i osłabione ręce porwał jednak broń, aby bronić Ojczyzny przed grobem — mówię przed grobem bo w $\frac{1}{2}$ roku po wzięciu Czczewa dla tych samych ran życie zakończył¹⁰⁾.

Szanowny cieniu tego wojownika, przyjm te kilka wyrazów za dowód mojej wdzięczności, którą ci winienem za zachęcanie żołnierzy, aby mnie ratowali, gdy pod tymi co ty murami tak ciężko byłem ranny, że utraciwszy krwi wiele padłem bez zmysłów.

Pokój wszystkim ceniom poległych Polaków pod Czczewem. O księciu S. naówczas półkowniku 1-go pułku, to tylko powiem, że przez swoją odwagę

i zimną krew w niebezpieczeństwie dowiódł w tej ofercie, że chociaż tak młody godzien był zaufania wyższej władzy, jakie w nim położyła czyniąc go pułku dowódcą.

W kilka dni po wzięciu Czczewa, gdy okolice Gdańska od wojska Polskiego oczyszczone i Prusacy do tego warownego miasta zamknięci zostali, przybyli i Francuzi i odtąd zaczęło się oblężenie tej fortecy formalne.

Pułk 1-szy po jakimś czasie pobytu pod Gdańskiem dostał rozkaz, aby się udał pod Kołobrzeg (Kolberg), którego prawie w tym czasie zaczęło się oblężenie.

Wiem że i pod temi dwiema fortecami pierwszy pułk wiele ucierpiał, ale o szczegółach ani jego cierpienie ani jego działań nic opowiedzieć nie mogę, bo będąc ciężko rannym pod Czczewem, nie byłem w stanie złączyć się z pułkiem, dopiero gdy po pokoju Tylżyckim stanął garnizonem w mieście Lesznie po nad granicą Szlązka. Chciałem ja choć niezupełnie wygojony udać się do Gniewu, gdzie ranny leżałem, pod Kołobrzeg, ale zamiast karty podróży udania się pod tę fortecę, dostałem rozkaz od generała Dąbrowskiego (który także w Gniewie leczył się i jeszcze nie był zdrowym) ażebym zebrawszy wszystkich rannych i chorych żołnierzy polskich (których Francuzi rozkazali z tego miasta uprzątnąć), poprowadził tych nieszczęśliwych

do Łabiszyna, Barcina i Mogilna, gdzie dopiero co założono szpitale dla rannych. Stosownie do rozkazu zebrałem najwięcej niebezpiecznie rannych sto dwudziestu kilku i po rzeczonych szpitalach rozlokowałem. Tu muszę nadmienić o czynie miłosiernym ludzkości księcia Sapiehy. Nie mówię tu o jego imieniu, bo mi to dotąd nie jest wiadome. Gdy fury z rannymi przechodziły koło kwatery jenerała, ksiązę właśnie znajdował się u niego. Zobaczył przez okno konwój i wysłał przez adjutanta 20 duk. w złocie dla tych męczenników Ojczyzny. Podzieliłem ich wiernie po ile na każdego wypadło; ten dar był wielkim zasiłkiem dla słabszych.

Wyżej wzmiankowane szpitale, czy to dla krótkości czasu i niedostatku, czy też przez niedbałość Francuzów, nie były zaopatrzone w żadne dla chorych wygody.

Gdyby nie patryotyzm okolicznych obywateli, byłby chorym więcej podobno dokuczył głód, niżli kalectwo rannym a słabość zchorzałym. Między obywatelami, ile mi jest wiadomem najwięcej udzielał wsparcia kasztelan Nieszkowski czyli Mieszkowski. Dostarczał zboża na chleb i dziedzic Barcina, starosta Łachocki, ale to podobno na rachunek rządu. Oddawszy władzy dozorczej chorych, chciałem podług mego zamiaru udać się do pułku, który jeszcze stał pod murami Kołobrzega, ale komendant tych szpitali,

gwałtem mnie zatrzymał i oddał mi w dozоровanie szpital Barcinski. Gdym mu się naprzykrzał mojemu prozbami, odpisał mi między innymi: że się więcej zasługuję Ojczyźnie mając staranie o chorych, niżli żebym w dwóch pułkach (gdyby to być mogło) walczył razem.

Najprzód posłuszeństwo, lecz więcej jeszcze przekonanie własne, skłoniło mnie do woli komendanta, bo w samej rzeczy taki naówczas brak był dozoru-jących, że dla zaraźliwych chorób osobliwie w lazarecie Barcińskim, za żadne pieniądze niemożna było dostać cywilnych ani na dozorców ani na posługaczy. Dla tego żołnierze zdrowi musieli usługiwać słabym a podoficerowie porządek utrzymywali i wygodami dla chorych się trudnili. Czystość, ile było można największą zaprowadziłem i tę w czasie mego pobytu utrzymywałem. Ta czystość i porządek, wielki miały wpływ na zdrowie chorych, zaczęli się mieć lepiej i coraz mniej umierało tych nieszczęśliwych.

Na tem zatrzymaniu mnie przy szpitalu w Barcinie, bardzo źle wyszedłem co do awansu. Bo złączywszy się z pułkiem, nietylko moich kolegów podoficerów, ale i tych co później po mnie przybyli, znalazłem oficerami. Dla tego dopiero przed samem wyjściem do Hiszpanii awansowałem na podporucznika w dniu 7-go Lipca 1808 r.

Po zawarciu, pokoju w Tyłży rok cały stał pułk dawniej 1-szy teraz już 9-ty, (pułk 1-szy który teraz dostał nr. 9-ty niestracił swego 1-go nr. za karę, jakby niewiadomi rzeczy mniemać mogli. Wy różniał się nietylko pod Czczewem, ale i wszędzie gdzie był z nieprzyjacielem w walce. Ta zmiana porządkowej liczby wypadła z tego powodu: Kiedy i inne prowincye polskie aż po Białystok uwolnione zostały od wojska pruskiego, zaczęto więcej formować pułków i zorganizowano ich dwanaście pieszych. Te podzielono na trzy dywizye. Dywizya w Poznańskim i Gnieźnieńskim chociaż najprzód uformowana i najprzód się z nieprzyjacielem biła, ale że się dostała pod komendę generała Dąbrowskiego, jako najmłodszego z generałów dywizyjnych, przeto została z porządku trzecią. Przeto i pułk 1-szy został 9-m, 2-gi 10-m, 3-ci 11-m i 4-ty 12-m. Pułki zaś dywizyi ks. J. Poniatowskiego wzięły nr. 1, 2, 3 i 4-ty, dywizya Zajączka nr. 5, 6, 7 i 8. Dla tej przyczyny najprzód bijącym się pułkom wzięto należne im nr.) w Lesznie i okolicznych miasteczkach.

W miesiącu czerwcu już nas uwiadomiono, że pójdziemy za granicę. W tym względzie zaczęto kompletować kompanie, nie nowozaciężnym ale starym żołnierzem, których nam inne pułki z naszej dywizyi dostarczały. Aby pułkownicy nie przysyła



najgorszych, odebrali rozkaz aby niewybierając, ale podług porządkowego numeru kontrol kompanicznych zacząwszy od nr. 1-go wyjąwszy słabych, oddawali do kompanii naszych. Nietylko skompletowano kompanie zupełnie, ale jeszcze uformowano kompanią rezerwową, aby z tej zastąpić tych, którzyby w marszu zachorowali.

Na początku lipca przybył do Leszna generał dywizyi Inspektor W. P. X. W. Fiszer i uczynił przegląd całego pułku, tak co do manewrów, jako też co do wewnętrznego porządku.

Wkrótce po rewii odebraliśmy rozkaz udania się do Łowicza, tam pomustrowawszy się dni kilka, przybył do nas marszałek francuzki, naówczas ks. Łowicki Davoust i odprawił ostatnią rewią z nami. Po rewii zebrawszy oficerów przemówił do nas krótko, dając do zrozumienia, że powinniśmy wielkiemu wówczas monarsze być wiernymi, bo od jego potężnej opieki zawisł dalszy los naszej Ojczyzny.

Przemawiając w tem znaczeniu do Polaków, marszałek francuzki dał poznać, że nieznał ducha narodowego polskiego. Polacy dla dobroczyńcy ukochanej Ojczyzny, którzyby szczerą i niezmienną ofiarował im pomoc do dźwigania tej ich nieszczęśliwej matki, nie potrzebują zachęcania w słowach, częstokroć pochlebnych, ale tylko pozornych. Oni

gdy się tylko przekonają, z czynów o życzliwości swego opiekuna, wszystko co mają najdroższego, dla takiego dobroczyńcy poświęcić zawsze są gotowi. Pójdą nietylko do Hiszpanii, ale do ostatnich krańców ziemi, aby to tylko było z pożytkiem najdroższej dla nich Ojczyzny.

Po pożegnaniu się z marszałkiem wróciliśmy w tym dniu na nasze kwatery, a nazajutrz jak najranniej to jest dnia 4-go sierpnia wyruszył batalion 1-szy w pochód do Hiszpanii.

Postępowaliśmy do tej krainy wesoło i chętnie w najpewniejszym przekonaniu, że i pod obcym niebem służyć będziemy sprawie swojego narodu.

W pochodzie do Kalisza miło mi jest wspomnieć o obywatelu Cieleckim, w którego wiosce z moją kompanią, w której byłem oficerem, mieliśmy spoczynek. Nie tylko dla tego wspomnienie to czynię, żeśmy szczerą i otwartą w jego domu znaleźli gościnność, a w jego wiosce nasi żołnierze prawdziwą wygodę, bośmy i w innych stanowiskach, nie takiego ale podobnego doznali przyjęcia, ale szczególnie dla tego, że ten zacny obywatel był prawdziwym ojcem dla swoich wieśniaków.

Wioska jego, ludna, chędogą i dosyć dobrze zabudowana, a dobre mienie rolników, przekonywały nas, że bardziej starał się o pożytek swych chłopków, niżli o swoje korzyści.

To także przekonywało nas o tem że w jego wiosce niebyło arendarza żyda. Był to obywatel kontent z swych ludzi a ludzie z niego. Z Kalisza stosownie do karty drożnej udaliśmy się do Międzyrzecza a ztamtąd ku Frankfurtowi nad Odrą¹¹⁾.

Przechodząc przez ostatnią wieś polską (nim opuściliśmy naszą Ojczyznę, cały pułk 9-ty tak oficerowie jako też i żołnierze złożyli miesięczną gażę na ręce jenerała Dąbrowskiego. Pieniądze te miały być użyte na wystawienie pomnika Napoleonowi, którego uważaliśmy jako oswobodziciela Polski. A że ten pomysł dla dalszych okoliczności, nie przyszedł do skutku, jenerał Dąbrowski przed samą śmiercią*) prosił ks. Sułkowskiego, jako dawnego pułkownika, aby te pieniądze zwrócić żyjącym jeszcze z tego pułku oficerom i żołnierzom. Co gdy nam oświadczył książę Sułkowski, on i wszyscy jednogodnie ofiarowaliśmy te pieniądze około 40,000 złp. wynoszące, na pomnik księcia Józefa Poniatowskiego) i gdyśmy ostatni krok uczynili przez przedzielającą linią, krainę Polską od krajów Pruskich, jakiś mimowolny i smutny żal przeniknął serca nasze. Jakby machinalnie nietylko oficerskie ale i żołnierskie zwracały się często głowy, aby jeszcze choć zdala popatrzeć na ziemię rodzinną, na ziemię od tyłu wieków przez naszych

*) Jenerał Dąbrowski zmarł 26 kwietnia 1818 r. S. T.

przodków osiadła i zamieszkała. Każdy się z nas w cichości żegnał z ulubioną Ojczyzną, przenikając się tą zasmucającą a mimowolnie nasuwającą się myślą, że może raz ostatni spogląda na swoją ziemię, że stopy jego po niej posuwać się nie będą, a może kości obcą zalegną ziemię i nigdy prochy z ciała jego nie połączą się z prochami ojców, ani dla następnych pokoleń użyźniać będą tę Ojczyzną ziemię, dla której dobra te długie marsze, podejmował tak chętnie. Niestety takie smutne przecucia ziściły się na większej części tak dumających, bośmy i w $\frac{1}{3}$ części nie powrócili do rodzinnych progów.

Później, Hiszpanii mieszkaniec dziwić się zapewne będzie, mówiąc, z kąd się tu zjawily kości męznych a tyle kochających swoją Ojczyznę Polaków?

Takie myśli choć żałośnie i przenikające, podobaly się jednak duszy, bo ich źródłem była miłość drogiej Ojczyzny. Były to marzenia przyjemne, bo się marzyło o Polsce, o której prawdziwemu Polakowi marzyć tak miło. Możemy już uszli na obcej ziemi więcej jak pół mili, a jeszcze między nami ponure trwało milczenie, stopniowo dopiero obudzaliśmy się z tych żałośno przyjemnych marzeń, a to na widok obcej krainy, która nam się zdawała i lepiej zaludniona i porządniejszemi wioskami zabudowana od naszej Polski.

Im dalej posuwaliśmy się w głąb obcego kraju, tem bardziej przekonywaliśmy się że tak jest. A co nas tem bardziej zadziwiało, że ta pierwsza obca okolica była piaszczystą. Gdym się z niektórymi kolegami nad tem zastanawiał, byliśmy zmuszeni przyznać, że Rząd nam nieprzyjaznych od wieków sąsiadów, lepiej się opiekował swoimi poddanymi od rządu naszego. Było nam to po części przykro, lecz miłość własna ustąpić prawdzie powinna. Lecz podobno ta niemiecka lepsza nad mieszkańcami opieka, nie tak pochodzi z tego przekonania aby polepszyć dobre mienie rządzonych, ale aby zwrócić uwagę na swoją stronę wieśniaków i mieszczan polskich, bo od dawnych czasów zapewne sobie ułożyła plan, aby ziemią polską powiększyć kraje niemieckie.

O podobności tego planu nietylko świeższe wypadki, ale i zdarzenia od kilku wieków o tem nas przekonywać mogą. Tę ostatnią uwagę zdawała się potwierdzać i rzeka Odra, która niegdyś polską przerzynała i użyźniała krainę. Przeszedłszy niechętnych nam Prusaków ziemię, wstąpiliśmy do kraju Saskiego, którego mieszkańcy przekonywali nas i wtenczas, że są dla Polaków przychylni, przyjmowali nas wszędzie otwarcie, mogą mówić z radością. Nazywali nas ziomkami (Landskinder). Jakże nam przyjemnie było w pośród gościnnego

narodu przechodzić. Posepne marzenia ustały. Cieszyliśmy się, że dobre dla nas Sasy tak dobrze i po ojcowsku rządzone kraj zamieszkiwali. Wszędzie spostrzegamy porządek i dobre mienie mieszkańców co jeszcze naszą powiększało radość, bo swoim do nas przywiązaniem zupełnie naszą pozyskali przychyłość. Błogosławiliśmy niebu, że temu dobremu ludowi dawał tyle dobrych monarchów, że Saksonią po ojcowsku rządząc do tak kwitnącego przyprowadzili stanu. Uczciwe Sasy, ileśmy z nimi mówili o panującym wtenczas ich monarsze, cnotliwym Auguście, zawsze go z widocznym uczuciem nazywali: to nasz kochany Ojciec, co nam tem większe ukontentowanie czyniło, bo ten tak dobry monarcha był i naszym Wielkim księciem Warszawskim¹²).

W Torgau fortecy Saskiej odebraliśmy inną broń i złożyliśmy tę, którą przynieśliśmy z Polski. Przeszedłszy rzekę Elbę wnet zbliżyliśmy się do pamiętnej w polskiej historii Saali, gdzie wielki nasz monarcha Bolesław Chrobry kazał bić żelazne pale na pamiątkę, że nad tą rzeką powiewały zwyciężkie chorągwie z orłami białymi. Na to słodkie dla Polaka wspomnienie, żywiej zabiły serca nasze, a miłość Ojczyzny mocno się uczuć dawała. Wśród tak przyjemnych uczuć patrzeliśmy weselszem okiem na wzniosłe Saksonii góry, które po drodze, naszemu

przedstawiały się wzrokowi. Marsz stawał się przyjemnym, a wszelkie trudy wojenne choćby największe, jakie nas w Hiszpanii czekały, mało znaczącymi. Wnet prześliśmy miły dla nas kraj Saski. W dalszym pochodzie przez Niemcy, przybyliśmy do księstwa i jego stolicy Fuldy, gdzie niegdyś opat bogatego klasztoru Benedyktyńskiego był udziałnym księciem.

Z Fuldy ruszyliśmy przez Erfurt do Gota, stolicy małego księstwa tegoż nazwiska. To miasto dosyć z siebie piękne, zdobi pałac ozdobny panującego księcia, przy którym zachwycający ogród, bo w nim naśladowano naturę¹³).

Gdyśmy się zbliżyli do miasta Hanau, którego fortyfikacje były niedawno z ziemią zrównane, gdzie przenocowawszy wsiedliśmy na przygotowane na rzece Menie statki i popłynęliśmy do Moguncyi, miasta położonego na lewym brzegu Renu i gdzie Men wpada do tej sławnej rzeki. Płynąc koło Frankfurtu miasta handlem znakomitego, przed wnijsiem Francuzów do Niemiec wolnego w ten czas zaś stolicy wielkiego księstwa Frankfurckiego, płynąc mówię koło tego miasta, urząd municypalny przysłał podwieczorek, prawdziwie oszczędności niemieckiej, skromny lecz posilający; oficerowie dostali po $\frac{1}{2}$ butelki reńskiego wina, po $\frac{1}{2}$ funta sera

szwajcarskiego i białego chleba, żołnierze zaś po kwarcie piwa, również chleba i sera.

Te uczęte ofiarowało miasto, aby obce wojsko nie przechodziło przez jego ulice, niegdyś tak długo wolne. Przepłynawszy przed Moguncyą, wylądowaliśmy przy ujściu Menu i przez most na łyżwach wybudowany weszliśmy do miasta. W tej pierwszej na ziemi francuzkiej fortecy, niedawno przez nich na Niemcach zdobytej i do Francji przyłączonej, mieliśmy spoczynek. Ile nam czas pozwolił oglądaliśmy mocne baterye. Przypatrywaliśmy się przenosząc myśli wstecz do odległych wieków, ruinom jeszcze dosyć znacznym wodociągu rzymskiego. Pokazywano nam i cmentarz starożytny rzymski, na którym dochowano dotąd kilkanaście skromnych nadgrobków z ułamek twardego granitu. W pięknym arsenale tej fortecy, złożyliśmy broń saską wziętą w Torgau a natomiast odebraliśmy broń francuzką, z którą odbyliśmy kampanie Hiszpańską, Rossyjską, Niemiecką i Francuzką, które starać się będę opisać niżej.

Z Moguncyi przez Breizenach ruszyliśmy do starożytnego miasta Trewiru. To miasto położone na wzgórzu chociaż dosyć znaczne, prócz starożytnej cechy, nie ma nic uderzającego. Mieszkańcy podobno zanadto się chlubią starożytnością swojego grodu, co

dowodzi na jednym domu prawie łokciowemi literami rzymskiemi położony takowy napis:

Treviris ante Romam stetit annis mille tercentis.

Idąc do Luksemburga oglądaliśmy na miejscu pustem drzewami zarosłem, dosyć jeszcze dobrze zachowany kamienny obelisk, który jak mówią sięga czasów rzeczypospolitej rzymskiej. Luksemburg, forteca pierwszego rzędu, zadziwia nietylko nas, ale i znawców swoim korzystnem położeniem, staranem obwarowaniem i wzniosłymi wałami gruntownie obwarowanymi, ale jeszcze mocniej dziwiło nas to, że wytrzymałość francuzka potrafiła ją zdobyć.

Posuwając się dalej, przechodziliśmy także przez dwie małe warownie stojące na dawnych granicach francuzkich Longry i Montmedy. Warownia Verdun nieco dalej ku Paryżowi leżąca, może się liczyć do fortec 1-go rzędu.

Zbliżając się ku Paryżowi przez Soissons przybyliśmy do Reims stolicy Szampanii gdzie się zwyczajnie koronowali dawni królowie francuzcy¹⁴).

Odwiedziliśmy metropolitarny kościół, gdzie się obrzędy koronacyjne i namaszczenia odbywać zwykły przez Arcybiskupa Reimskiego.

Gotycka architektura tej świątyni dowodzi, że sięga dawnych czasów chrześcijaństwa. Przechodząc

przez Szampanią uważałem jej pola, na których się sławne szampańskie wino tak obficie rodzi, zdaje się jednak (wnosząc z rozległości miejsca) rzeczą niepodobną, aby wino, które pod tem nazwiskiem w całej Europie konsumują, było wszystko owocem tej niebardzo rozległej ziemi. Role, co rzeczone wino wydają, mają ziemię choć niepiaszczystą ale lekką kamyszkowatą. Spodem jest prawie ciągła opoka, którą pospolicie nazywamy kredą.

Miasto Chalon, w okolicy którego najwięcej się tego wina rodzi, i jak mówią w najlepszym gatunku, jest po większej części z opoki kredowej wystawione, niemniej i mury co je otaczają, powiedziałem po większej części, bo dla miękkości kredowej opoki, węgły i sklepienia po nad drzwiami i oknami są z ciosowego kamienia.

W przechodzie przez Francją, przedstawiały się oczom naszym często sterczące ruiny dawnych klasztorów, które rewolucya zniszczyła. Był to zasnucający widok nietylko nietrwałości dzieł ludzkich ale zarazem i dowody zmienności opinii człowieka — oraz ślady walk, jakie stany jednego narodu staczając z sobą zostawiają potomności znaki zniszczenia.

Ztąd powinniśmy brać naukę jak stan stanu nietylko uciskać niepowinien, ale żyć w ciągłej harmonii i zgodzie. Rządy zaś uczyć się z podobnych



Uniwersytet Żołnierski
D. O. Gen. Poznań

wypadków mają, aby rozrzutnie nie dawały przywilejów jednemu stanowi z uszczerbkiem drugiego. Najkorzystniej podobno dla społeczności ludzkiej byłoby aby z jednego stanu składały się narody, a między ludźmi żeby nie urodzenie ale zdatność i zasługi a nadewszystko spokojne cnoty różnicę czyniły. Wszystko jest czasowe i doczesne na świecie i godności ludzkie prócz monarchicznej doczesnymi być powinny. Takie zasady społeczności podobnoby były najgodniejsze z naturą człowieka. Tym sposobem możeby się zmniejszyły te rewolucye, które dawnego świata tylekroć razy spustoszyły ziemię.

Staliśmy wreszcie w stolicy Francuzów w tem olbrzymiem mieście, które natenczas zdawało się być blizkim tej wieków epoki, że albo się wzniesie z swym władcą do najwyższej potęgi w świecie, albo runie swoją wielkością.

Każdy wie co się dalej stało i że dało powód do przekonania się myślącym, że rzeczy ludzkie były i są znikomemi.

Z rozkazu Napoleona wszystkie pułki przechodzące przez Paryż do Hiszpanii fetowanymi były. Tę łaski i pułk 9-ty był uczestnikiem. Dla oficerów wielki obiad był dany, w dolnych salach należących do zabudowań pałacu cesarskiego Tuileries, a dla podoficerów i żołnierzy w koszarach gwardyi. Przy

stole oficerowie polscy pomieszani byli z francuzkimi aby Francuzi zachęcali naszych do picia, do jedzenia. Stół był suto zastawiony licznymi półmiskami i różnego gatunku wybornemi winami. Gubernator Paryża przyjmował nas w imieniu cesarza.

Przy końcu obiadu zaczęły się toasty na zdrowie cesarza, wielkiej armii francuzkiej i całego wielkiego narodu francuzkiego przez nas wzniesione. Francuzi z swęj strony pili na zdrowie wiernych swoich sprzymierzeńców Polaków i całego wojska polskiego etc.

Zakończyliśmy ucztę w wielkiej harmonii, chociaż przy rozwesolonym humorze, ale najspokojniej. Również i w koszarach obficie częstowała gwardya żołnierzy naszych. Kompaniami siedzieli przy stołach piękną stołową bielizną pokrytych, fajansem i butelkami dobrego wina zastawionych. Zachęcani przez Francuzów, jedli i pili smacznie, zachowując się przy stole dosyć dobrze. Po stole jednak nekani niektórzy przebrali miarke, lecz ta liczba była bardzo mała. Po skończonej biesiadzie w dobrym porządku i spokojnie wrócili do swoich koszar. W Paryżu nie dostaliśmy kwater, bo ta stolica uwolniona jest od ciężaru kwaterunkowego. Nawet wtenczas gdy kilka lat później wkroczyli sprzymierzeni do tego miasta, nie naruszono tego przywileju. Z sto-

licy Francyci trzeciego dnia ruszyliśmy ku Hiszpanii. Pierwszą noc przepędziliśmy w Versalu. To miasto, w którem dawni monarchowie Francyci lubili przemieszkować, nie jest obszerne ale pięknie i porządnie zabudowane. Pałac królewski i pyszny ogród z wodotryskami zadziwił nas wszystkich cośmy go odwiedzali¹⁵).

W Marszu do Bordeaux przechodziliśmy przez znaczniejsze miasta następujące: przez Orleans, Tours, Poitiers, Angoulême. W Orleans nawiedziliśmy pomnik Joanny d'Arc, czyli dziewicy Orleańskiej w kolosalnej wielkości tej dawniej bohaterce z bronzu wystawiony. W Tours byliśmy także fetowani. Po między tem miastem i Poitiers oglądaliśmy te sławne równiny, gdzie się Maurów potęga, że tak rzeknę rozbiła. Zwycięstwo nad Maurytanami tam odniesione wślawiło Francją i Karola Martela, a naród francuzki uwolniło od jarzma, którem mu Mahometanie grozili.

Stanąwszy w Bordeaux przeorganizowaliśmy nasz pułk inaczej, aż do tego miasta bataliony dywizyi polskiej do Hiszpanii przeznaczonej, składały się z 9-ciu kompanii, to jest z grenadyerskiej, 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, i wołyżerskiej. Tu 7-me kompanie zwinięte zostały i między inne podzielone. Tu założony został magazyn dla trzech pułków księstwa

Warszawskiego pod komendą naówczas kapitana pułku 9-go Geslera a później szefa tegoż pułku. Odtąd osiem kompanii czyniło batalion. Taka organizacya zdaje się być korzystniejsza. Z batalionów podobnych szybciej formują się kolumny i czworoboki.

Bordeaux, miasto ludne i obszerne, korzystnie nad ujściem Garonny położone, mając port bezpieczny, jest zamożne i handlowe. Jego okolice i całe nadbrzeża rzeki Garonny w wyborne wina obfitujące, nie mało się zapewne przyczyniają do wzrostu miasta tego. Opuściwszy Bordeaux, zaczęliśmy gdy się zdarzały krótkie, dublować marsze, ażeby przyspieszyć pochód do Bajonny. Okolice, przez które teraz przechodziliśmy, nie są podobne do okolic z tamtej strony Garonny. Tam widzieliśmy wsie liczne, prawie jedne z drugimi stykające się, miasta częste i ludne. Tu przeciwnie miasteczka małe jedno od drugiego odległe i wioszczki nader rzadkie. Drogi bite już od Bordeaux ustały. Często napotykanę ruchome piaski, marsze nasze utrudniały.

Gdzie niegdzie przedstawiały się oczom naszym puste prawie stępy, poziomymi krzewy zarosłe, w części jednak pożyteczne, bo czasami spotykaliśmy na nich dość znaczne trzody owiec z wyborną wełną. Lud jednak w tych okolicach zdaje się być

pracowitszym a równie jak wszyscy wieśniacy francuscy gospodarnym. Koni tu już mało używają. Ich miejsce zastępują woły, od gospodarnych wieśniaków starannie utrzymywane. Nakrywają je jak konie płóciennymi derami, czeszą, myją swoje bydełko, a gdy je pasą w drodze, nie porzucają siana przed nie, ale zwijają w małe wiązeczki paszę, z rąk podają im do gęby. Takim sposobem w drodze lub polu karmione woły nie tylko sobie odpoczną bo się nie schylają po pokarm na ziemię, ale najmniejsza trawa z paszy nie zepsuje się ani podepce.

Na samym początku października przybyliśmy do Bajonny, miasta mocno obwarowanego, równie jak Bordeaux położonego nad morzem i nad rzekami Adour i Nive. Tam odebraliśmy ładunki po 60 na jednego żołnierza. Bajonna jest ostatnia forteca francuzka przed granicą hiszpańską. W Dax, miasteczku przed Bajonna, niektórzy oficerowie wzięli po jednej kąpieli ciepłej, bo więcej dla marszu brać nie mogli.

Nader obfite źródło gorącej wody nietylko służy do kąpania, ale i za pralnie wszystkim mieszkańcom przy dosyć znacznym stawie, który ta woda tworzy.

Z Bajonny ruszyliśmy do ostatniego miasteczka francuzkiego St. Jean de Luz także nad morzem.

Tam pierwszy raz zobaczyliśmy generała dywizyi Valence, senatora państwa francuzkiego, który był przeznaczony na dowódcę dywizyi polskiej W. Ks. Warszawskiego, którą składały następujące trzy pułki piechoty liniowej: 4-ty, którym dowodził pułkownik Potocki, 7-my, którego pułkownikiem był Sobolewski, i 9-ty, którym komenderował pułkownik książę Sułkowski.



Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.

Wojna hiszpańska 1808—12.

Opuściwszy St. Jean de Luz z rana jeszcze (podobno 8-go października), przeszliśmy małą rzeczkę Bidassoa, która rozgranicza Francją od Hiszpanii i stanęliśmy na nocleg w Irun, pierwszym mieście hiszpańskim.

Zaraz od wyżej wspomnianej rzeki Bidassoa, zaczyna się pasmo gór Pirenejskich, które nie tylko naturalną są granicą ale i przedmurzem Hiszpanii od Francji.

Z Irun ruszyliśmy przez Ernanin do Tolosa na trzeci nocleg między górami Pirenejskimi. To miasto dosyć obszerne leży w dolinie do koła wysokimi górami otoczone, które je tak zaciemniają, że zdaje się jakby tam nieustanna panowała pomroka, słoneczne promienie tylko koło południa oświecają te ukryte że tak powiem wśród Pirenejów miasto.

Postępując dalej wśród gór Pirenejskich przez Allegrin, Villa-franca, Villa-Real (przy Villa-Real jest góra uderzająca w oczy, odosobniona od innych gór, wznosi się jak owe opisują piramidy egipskie nad powierzchnią wysoko i dość ostro, tem się tylko od piramid różni, że jest okrągłą), Anzola, Livare, Salinas, Mondragon, koło zamku Gebora, przez Montavelvara, przez Polonio stanęliśmy w Vittoryi, mieście leżącym po za Pireneami idąc od Francyi.

Aż do tego miasta zrejęterowały się wojska francuzkie, gdy po kapitulacyi pod Baylon, były przymuszone opuścić Madryt i cofać się ku Pirenejom.

Roku 1813 pod tem samym miastem Francuzi przegrali stanowczą batalią z połączonemi wojskami angielskiemi i hiszpańskimi.

Z Vittoryi przez Arenas, Miranda, Pancorbo Bribiesca, przymarszerowaliśmy trzeciego dnia do Burgos miasta dosyć znacznego nad rzeką Arlenson. Przybliżając się do tego miasta, już spostrzegliśmy nieszczęsne skutki wojny. Ciała od kilku dni poległych żołnierzy nie pogrzebane, a samo miasto prawie zupełnie opuszczone przez mieszkańców. Wojska francuzkie ścigając tu na głowę zwyciężonego nieprzyjaciela, nie miały czasu oddać téj ostatniej usługi nieszczęśliwym ofiarom wojny, a krajowcy rozpierzchnieni postrachem wojennym, tułają

się pomiędzy górami. Obawiali się pogrzebać może swych synów lub braci. Wychodząc z Burgos, trakt główny do Madrytu idzie w prawo na Valladolid i Segovią. Tym traktem może poszły inne wojska francuzkie, nasza zaś dywizya polska posuwała się prawie w prostej linii przez góry Somo-Sierra ku stolicy Hiszpanii. Przechodząc przez to drugie pasmo gór hiszpańskich, przybyliśmy do sławnego wąwozu, mówię sławnego, bo świeżo zlanego krwią polską. W tym to wąwozie, którego uporczywie bronili Hiszpanie, z rozkazu i w przytomności Napoleona, pułk gwardyi polskiej, którą wówczas dowodził pułkownik Wincenty Krasieński. Ten mówię pułk napadł pędem i żwawo na baterya hiszpańska, artylerzystów rozproszył, armaty zabrał i wąż bezpiecznym do przejścia uczynił. Było to miejsce trudne do zdobycia, bo nie tylko z jednej i z drugiej strony wysokimi górami otoczone, ale i sam znacznie głęboki wąż ukrytemi za okopem działami broniony. Gdy armaty były w mocy Polaków, wołyżery francuzkie, którzy w ten czas się wdrapali na skały, zaczęli z ręcznej broni razić piechotę hiszpańska, która nie czekając większej siły nieprzyjaciela, zaczęła się spieszenie cofać ku Madrytowi. Nie było to zwycięstwo, tyle sławy czyniące orężowi polskiemu bez straty. Prócz kilkunastu kawalerzystów, trzech oficerów poległo

w tej walce, między oficerami, to dwóch nazwiska nie pamiętam, a trzeci zginął tam kapitan Krzyżanowski.

W tym samym parowie spoczywają ci mężni Polacy, którzy i na obcej ziemi z taką odwagą przy widocznem niebezpieczeństwie potykali się z nie swoim nieprzyjacielem, wywdzięczając się w imieniu narodu temu bohaterowi, od którego Polacy spodziewali się dzielnej poręki do odzyskania swojej Ojczyzny. Widziałem i uważałem to miejsce, ale nie byłem naocznym świadkiem samego czynu. Ażeby tego wawozu nie opanował nieprzyjaciół i nadchodzącym posiłkom z Francji nie utrudniał marszu, rozkazał naówczas cesarz Napoleon osadzić go batalionem 4-go pułku piechoty księstwa Warszawskiego. Ten batalion nie zaraz się złączył z swym pułkiem. Jenerał francuzki tej prowincji gubernator używał go stosownie do swoich widoków. Ten oddział pułku 4-go był później wysłany w góry Asturyi ku Galicyi Hiszpańskiej.

Dywizya polska nie zatrzymując się nigdzie przeszedłszy ten wawóz postępowała spieszenie ku stolicy Hiszpanii, mając przed sobą korpus francuzki. Wsie i miasteczka, podczas tego marszu po drodze spotykane, były poopuszczane przez mieszkańców tułających się pomiędzy górami. Marodery francuzkie których dosyć spotykaliśmy po drodze, nielitościwie pustoszyli te opuszczone siedliska. Ci źli żołnierze Francji, aby ich nie zabierały wojska

tędy przechodzące, ukrywali się po kilkunastu wśród opuszczonych domów. Razu jednego gdy pułk nasz spoczawszy ruszył dalej, odebrałem rozkaz, abym z oddziałem zrewidował miasteczko, przy którym spoczywaliśmy, a potem przy kasie pułkowej postępował za pułkiem.

Gdym dopełniał tej powinności, w niektórych domach znalazłem pozostałych po kilku żołnierzy francuzkich uzbrojonych.

Gdym ich się pytał czemu nie spieszyli za swymi pułkami, odpowiadali mi wszyscy jednakowo że są chorzy, nie zważając na to, powypędzałem ich z miasteczka. Jedna banda tych maroderów prawdziwie mnie zgorszyła. Zastałem ich w obszernej sali porządnego domu, palących w pośrodku téjże ogień na pięknej posadzce.

Na ogień zaś kładli machoniowe meble, których tylko szczątki opalone zastałem; w chwili gdym wchodził do sali dopiero co wzięli ze ściany ogromny bardzo dobrze malowany obraz, z złotemi zdaje mi się ramami i ten włożyli na swoje ognisko, uratowałem ten drogi zabytek lecz już cokolwiek w środku przepalony, i z moimi żołnierzami postawiłem przy ścianie. Wypędziwszy razami tych niszczycieli udałem się spiesznie za pułkiem z moim oddziałem, zabezpieczając powierzoną mi kasę. Zdziwiłem się nad

tym barbarzyńskim czynem żołnierzy ucywilizowanego narodu.

Przybywszy do Madrytu zastaliśmy tam po większej części zebrane wojska francuzkie. Napoleon nie w Madrycie ale o godzinę od téj stolicy obrał sobie główną kwaterę, może przez ostrożność, może i przez urazę jaką miał do téj stolicy, że się niepokazała uległą jego wyrokom, że po drugi raz z orężem w ręku musiał ją zdobywać¹⁶).

Ta stolica Hiszpanii w stosunku swojej ludności która jak mówiono przeszło 200,000 w owym czasie wynosić miała, nie jest dość rozległą, ulice i place po większej części ciasne ale ściśle zabudowane. Spacerki koło miasta położone są nader przyjemne, ale rzeka Manzanares zwana, która przy jego murach płynie, żadnej nieczyni przyjemności ani użytku gdyż w czasie suszy suchą nogą przejść ją można. Wojska co do Madrytu weszły, rozlokowane były po klasztorach których tam jest dosyć. Nasza dywizya Polska pięć takich klasztorów zajęła. Wypocząwszy po spieszonych marszach cokolwiek, trzeciego dnia cesarz Napoleon uczynił przegląd całego wojska na równinach Madrytu. Po téj rewii dwiema dywizyami Francuzów i naszą udaliśmy się do Ponte-Almaraz nad rzeką Tajo w Estremadurze. Tam wyparowaliśmy armią Hiszpańską, która połączona

z Anglikami opanowała most na tej rzece i zdawała się zagrażać Madrytowi.

Ta utarczka niedługo trwała. Po kilkudziesięciu wystrzałach armatnich z jednej i drugiej strony cofnęli się Hiszpanie, zostawiwszy w naszej mocy most i parę set niewolników, których kawalerya francuzka ścigając nieprzyjaciela zabrała. Po zreiterowaniu się Hiszpanów nie ścigano ich dalej.

Zostawiwszy dla bronienia zdobytego mostu oddział 9-go pułku Polaków z dwóch set żołnierzy składający się pod komendą kapitana Gorzyńskiego, nadto dwa działa i kilkunastu konnych strzelców dla odsyłania raportów, posunęliśmy się wkraczając coraz głębiej w prowincję Estremadurę ku granicy portugalskiej. Każda dywizya wzięła inny kierunek. Nasze trzy pułki polskie szły wprost ku granicy portugalskiej, lecz niedługo skierowaliśmy się ku miastu Placencia. Postępując ku temu miastu przybyliśmy nad rzekę małą, o której nazwisku nie mogłem się dowiedzieć, ponieważ to miejsce było wśród pustyni i stanęliśmy przy niej obozem. Drugiego dnia odebraliśmy rozkaz przejścia tej rzeczki. Woda była bardzo mała gdyśmy tam przybyli, lecz gdy ją wojsko zaczęło przechodzić, taki deszcz ulewny zaczął padać, że w parę godzin tak wezbrała iż nie można było przeprawy dokończyć. Batalion 7-go

pułku, artylerya z jaszczykami i bagaże przeszły, reszta zaś musiała się wstrzymać. Wysłano kawalerya z przewodnikiem, aby szukała promów do przewozu, lecz tylko jeden znalazła i to tak mały, że ledwo 20 ludzi na nim się pomieścić mogło. Tym promikiem mieliśmy kontynuować przeprawę, ale odebraliśmy przeciwny rozkaz. Ten statek chociaż tak mały posłużył jednak do przebycia rzeki napowrót wojskom tym, które się już przepawiły były. Gdyśmy w tem miejscu stali, ciągle padający deszcz dał nam się we znaki. Wród tej pustyni, nawet nasz zacny dowódzca generał-dywizyi Valence staruszek przeszło sześćdziesiątletni nie miał się gdzie schronić. Żywności zaczęło już brakować, a nie było jej zkąd dostać. Po odebraniu rozkazu ruszyliśmy napowrót. Przechodząc niedaleko Almaraz połączył się z nami oddział przy moście zostawiony a potem Francuzami zlurowany. Udaliśmy się ku Talavera także nad rzeką Tajo leżącego. Tam odpocząwszy dni parę poszliśmy do miasta Toledo położonego nad tą samą rzeką, odległego od Madrytu w stronie Andaluzyi o kilka marszów.

Toledo, stolica arcybiskupstwa najbogatszego w Hiszpanii, miasto, którego ludność po większej składają duchowni, mające kościół metropolitalny, wspaniały i bogaty, było odtąd kwaterą główną korpusu, do którego pułki polskie należały, ztąd

robiliśmy wycieczki na nieprzyjaciela gdzie się pokazał¹⁷).

W kilka dni po przybyciu do Toledo uczyniliśmy pierwszą wyprawę do Mora, pięć mil hiszpańskich ku południowi, — z kądem wyparowawszy nieprzyjaciela wróciliśmy się napowrót¹⁸). Po kilkunastodniowym spoczynku udaliśmy się znowu w całej dywizyi ku Mora, pułk kawaleryi polskiej przed nami. Pominawszy wieś wspomnioną, piechota stanęła w Orgas, a lansjery nasze w Jowenes o półtoręj mili hiszpańskiej przed nami. Pułkownik tego pułku Konopka udając śmiałego, rozlokował żołnierzy w tój wsi bezpiecznie. Jednemu tylko szwadronowi kazał, aby postawiwszy pikiety w wyznaczonych miejscach stał pod bronią noc całą: sam stanął u markiza tój wsi dziedzica, z którym dawniej, robiąc ku tój stronie patrole, zabrał znajomość. Kapitan Szulc około północy uwiadomił pułkownika, że w okolicy słyhać jakiś gwar. Lubo spał smacznie, poprosił jednak swego gospodarza markiza i pytał go, czyli w tój stronie nie masz nieprzyjaciela. Ten zapewniwszy go że nie, dodał że to muszą być wieśniacy jadący ze zbożem i innemi potrzebami do Toledo, którzy ten gwar czynią. Przestając na tem zapewnieniu, nazwał kapitana tchórzem i nie dał żadnych rozkazów do ostrożności. Gdy jednak ten gwar coraz się więcej zbliżał i wzma-

gał, oficerowie kazali posiadać konie i być żołnierzom w pogotowiu. Wnet nieprzyjaciel otoczywszy wieś, zaczął ich atakować zewsząd. Pułkownik ledwo zdążył wsiąść na konia, ale nie mogąc się połączyć z pułkiem, który miał za stracony, sam w kilkanaście koni przedarł się przez nieprzyjaciela, przybył do naszej dywizyi, raniuteńko już maszerującą ku Konsuegra i zaraportował komenderującemu nami generałowi dywizyi Valence, że pułk jego zabrany przez nieprzyjaciela. Generał kazał zatrzymać się dywizyi i uformować się w kolumny. Posunęliśmy się ku Jowenes, alie niezadługo postrzegamy zbliżający się pułk Konopki, a na jego czele podpułkownika Kostaneckiego. Ten podpułkownik zebrał żołnierzy i z pałaszem w ręku przedarł się przez nieprzyjaciela uczyniwszy mu niemałą szkodę. Nie byli jednak nasi bez straty. Kapitanowie Szulc i Kotowski dostali się do niewoli i podobno koło 40 lansyerów. To wyjście z niebezpieczeństwa pułku zawstydziło Konopkę i nie wiem jakim sposobem uniewinnił siebie, że mu nie odebrano komendy.

Po tej lansyerskiej utarczce udaliśmy się na przód do Konsuegra, a ztamtąd ku Ciudad Real, stolicy prowincyi Mancha, które to miasto leży o dwa małe marsze na północ pasma gór Sierra-Morena zwanych, które jak Pireneje całą Hiszpanią, ak te Andaluzją zasłaniają. Wzdłuż gór Sierra-

Morena, rozciągnęli Hiszpanie linią wojskową i zgromadziwszy tam całe swoje siły, umyślili (korzystając z obronnego położenia miejsca), bronić Francuzom przejścia przez te warowne góry. W Ciudad Real i okolicy mieli do 20,000 wojska, które podobno uważali jako przednią straż sił swoich zasłoniętych temi nieprzystępnymi górami. Sądziłi oraz za rzecz potrzebną, trzymać tę stolicę Manchy w swęj mocy, aby z tej prowincyi we wszystko obfitującej mogli do gór sprowadzać żywność, a nieprzyjacielowi do jęj wybierania przeszkadzać.

Prowincyą Mancha można uważać za najrozleglejszą równinę hiszpańską. Francuzi z swęj strony usiłowali tę bogatą prowincyą oczyścić z nieprzyjaciela, aby z nięj obfity mieć dowóz żywności, również ażeby zmusiwszy nieprzyjaciela do ustąpienia z gór, spędzić go na równiny, na których zadawszy mu niepowetowaną klęskę, uczynić go niezdatnym do bronienia linii z natury obronnęj. Dla tych to podobno przyczyn powyżęj wzmiankowanych, dywizya nasza polska i dywizya francuzka, każda innym traktem zbliżyły się pod Ciudad-Real obsadzonego mocnym garnizonem hiszpańskim.

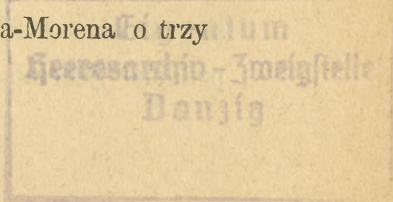
Czekali nas Hiszpanie i dzielnie przywitani działami swojemi. Nie mogąc jednak wytrzymać natarczywości naszęj, po krótkim oporze, straciwszy w zabitych i rannych do paru set ludzi, cofnęli się w dość

dobrym porządku do gór Sierra-Morena. Kawalerya francuzka, a z niemi i lansiery polskie ścigali ich w trop i zabrali parę set niewolników i kilkanaście wozów amunicyi i parę armat, których nie zdołali uprowadzić z sobą. I my z pułkami pieszymi ruszyliśmy za kawaleryą przez Santa-Cruz do El-Visillo, wsi która leży pod samemi górami Sierra-Morena.¹⁹⁾

W téj wsi i jéj okolicach staliśmy kilka dni obozem. Z tego obozu kompanie, woltyżerskie polskie z komenderującymi naczelnie jenerałami dywizyi Sebastyani i Valence, podsuwały się nieraz na wystrzał armatni pod namioty hiszpańskie, zapewne dla zrekognoskowania położenia nieprzyjacielskiego. Zabawiwszy mówię pod górami dni kilka cofnęła się nasza dywizya polska najprzód do Almagro a potem do Manzanares, cały korpus, do którego i my należeliśmy, tak się rozlokował. My jak rzekłem w Manzanares, lansiery polskie w Valdepenas. W środku przed nami kawalerya francuzka. Prawe skrzydło podobno w Ciudad-Real a lewe w Membrilla i Solana. Położenie terazniejsze wojsk naszych było oddalone od gór Sierra-Morena osiem mil hiszpańskich. Stojąc w Manzanares wysłane były małe oddziały piechoty w dyrekcyi ku Toledo dla komunikacyi, między innymi oddział z 30 ludzi pod komendą podporucznika Cińskiego z 9-go pułku Ks. W. był posłany do wsi Aranda czy Arenas. Ten oddział

napadnięty i otoczony od kilkuset Hiszpanów bronił się przez kilka godzin, wzywany do poddania się, mężnie odrzucił wezwanie. Byłby się może przerznął przez nieprzyjaciela, ale wskazany jego komendant Ciński, przez księdza, z którym się tenże zaznajomił, został przeszyty kulą z przeciwległego tój walce domu. Utraciwszy swego dowódcę, oddział chociaż jeszcze bronił się czas niejaki poddał się nakoniec. O szczegółach tój walki dowiedziałem się od żołnierzy z tego oddziału gdy powrócili z niewoli.

Stojąc na wyżej opisanėj linii, dzień w dzień kompanie wołyżerskie około godziny 1-ėj po północy wychodziły przed linią na drogi wskazane o godzinę czasu i tam stały pod bronią, aż do zupełnego rozwidnienia. Tak samo pułki wychodziły na pozycyę, ale zaraz przy wsiach które zajmowały i także pod bronią. Na tej linii staliśmy ciągle po bitwie pod Ciudad Real, która przypadła na początku kwietnia 1809 roku,*) przez dwa miesiące czy więcej. Dopiero gdy korpus angielski z Portugalii zmierzał ku Madrytowi od Badajoz, wtenczas cofnęliśmy się ku Consuegra o 11 mil w tył. Z tego stanowiska całą prawie siłą robiliśmy mocne wyprawy naprzód. Raz posunęliśmy się aż pod Elmorat, wsi leżącėj w dolinie zastłonėj wzniosłemi górami, odległej od Sierra-Morena o trzy godziny drogi.



Józef Napoleon naówczas król hiszpański osobiście dowodził rzeczoną wyprawą, lecz nigdzie nie spotkaliśmy nieprzyjaciela.

Tu nadmienić sądzę potrzeba dla przestrogi wojskowych, osobliwie komenderujących, jak w wyprawach osobliwie nocnych nie można być dosyć ostrożnym.

Razu jednego z tego samego Consuegra całą dywizją polską wymaszerowaliśmy zaraz z wieczora w dyrekcyi naprzód. Postępowaliśmy w porządku największym w ściśnionych kolumnach jak gdyby nieprzyjaciel tuż był przed nami. Kawalerya nasza z innego punktu ruszywszy wyprzedziła nas. Noc była bardzo ciemna. Uszliśmy może mil dwie, gdy nagle naszej awangardzie pokazała się kawalerya. Zatrzymana niestaneła i hasła nieoddała. Przednia straż nasza dała do niej ognia. Kawalerya rozdzieliwszy się galopowała po obydwóch stronach maszerujących kolumn naszych. Kolumna pierwsza również zaczęła strzelać. Kawalerya jeszcze mocniej cwałowała, o ciemku zaczęliśmy formować czworoboki, ale nieład tak się wzmógł w kolumnach, że dobry kwadrans minął nim czworoboki były w porządku. Artylerya francuzka maszerująca w tyle pomnożyła nieład, konie przy armatach przeleknięte rozbiegały się, aż na ostatku pokazała się omyłka. Była to podobno jenerała brygady wina, który nami dowo-

dził, czyli też jeszcze wyższej władzy, bo ani my o naszej kawalerii niewiedzieliśmy że jest przed nami, ani kawaleria, że maszerujemy za nią. Gdyby to aktualnie była kawaleria nieprzyjacielska a przytem dzielna, za pomocą nocnych cieni byłaby mogła wielką psotę dywizyi wypłatać.

Na końcu miesiąca lipca, cała linia nasza cofnęła się aż do miasta Toledo, gdzie przeszliśmy rzekę Tajo.

Pułk 9-ty i 4-ty X. Warszawskiego czyli tylko jeden batalion 4-go pułku odebrały rozkaz obsadzić Toledo.²⁰⁾

Reszta wojska, które się cofnęło, poszło do Talavera, miasta równie leżącego nad rzeką Tajo, gdzie marszałek Soult(?) naczelnie dowodzący armią południową w Hiszpanii, zamyslał wydać bitwę Anglikom, którzy w mocnej sile połączeni z Hiszpanami zagrażali, jak wyżej mówiłem, Madrytowi. Co tylko wojska cofnięte ruszyły ku Talavera, a z niemi pułk 7-my piechoty liniowej X. Warszawskiego i lansjery polskie, pokazali się Hiszpanie pod Toledo mocni jak mówiono do 20,000 i zaczęli nas blokować posyłając do miasta granaty i 12-to funtowe kule armatnie. Toledo leży na wzgórzu na prawym brzegu rzeki Tajo, a nieprzyjaciel obrał stanowisko na lewym brzegu téjże rzeki, zkąd posyłał do nas strzały działowe.

Dawaliśmy dzielny opór tej przemagającej sile z miasta, to z zamku, który panuje nad miastem położony na wzgórzu przy rzece.

Gdyby nieprzyjaciel w tem miejscu był przeszedł rzekę, byłby może z tak znaczną siłą dobył miasta, które od północy i zachodu jest otwarte. Jakoż zdawał się mieć ten zamiar na względzie, bo w kilka dni zostawiwszy może $\frac{1}{4}$ część wojska, z resztą sił udał się ku Aranguez, gdzieby łatwiej mógł przebyć rzekę.

Ale ten pomysł źle zamaskowany, nie udał się Hiszpanom, bo i my zostawiwszy tylko 2-gi batalion z pułku 9-go w Toledo, udaliśmy się także ku Aranguez po drugiej stronie rzeki, aby i w tym punkcie bronić przejścia. Byliśmy wprawdzie za słabi do dopięcia naszego zamiaru, ale tu szło tylko o zyskanie na czasie, bo wkrótce wojska, które poszły do Talowera, przybyły nam na pomoc. Ten batalion drugi pułku 9-go piechoty polskiej, pięć czy sześć dni wstrzymywał nieprzyjaciela i utrzymywał spokojność w mieście.

Gdy się to działo w Toledo i jego okolicy, marszałek Soult(?!) wydał bitwę Anglikom i Hiszpanom pod Talavera de la Reyna,*) miastem o kilka mil odległym nad tą samą rzeką, co i To-

*) 28-go lipca 1809 r.

ledo położonem ku Portugalii. Do tej batalii byli użyci i Polacy, którzy tam poszli, niemniej i pułk lancyerów polskich zostający pod dowództwem pułkownika Konopki.

Wiele tam ucierpieli, tak pułk 7-my jak i lancyery, oraz konna artylerya polska z tychże lancyerów polskich złożona, którą komenderował kapitan lancyerów naszych Hiuppe.

Sami Francuzi oddawali zasłużoną pochwałę męztwu Polaków a szczególnie lancyerom, którzy po dwa kroć kawaleryą angielską łamali. Skutek tej batalii był taki: obydwie strony straciły wiele w zabitych i rannych. Anglicy zostawiwszy swych rannych na pobojowisku, zrejterowali się w porządku, a Francuzi nie odważyli się daleko ich ścigać. W rzeczonej bitwie nie byłem osobiście. To com pisał o batalii talawerskiej, słyszałem od kolegów, którzy się w niej znajdowali.²¹⁾

Nadmieniwszy cokolwiek o Talawera, zobaczymy co się dzieje pod Aranguez. Opuściwszy Toledo, i zostawiwszy tam batalion 2-gi pułku 9-go udaliśmy się do Illescas, wsi leżącej na drodze do Madrytu, oddalonej od Aranguez o półtoręj mili hiszpańskiej. Stanęliśmy tam obozem, który parę oddziałów francuzkich wzmocniło; wkrótce do naszego stanowiska przybył i 7-my pułk piechoty polskiej i dywizya

Francuzów. Gdy pułki świeżo nadeszłe odpoczęły, ruszyliśmy ku Aranguez nad wieczorem. Tam tylko pokazawszy się nocą, poszliśmy napowrót do Toledo, gdzie stanawszy o świcie, natychmiast przeszliśmy rzekę Tajo. Postępowaliśmy w porządku bojowym, każdy pułk podług wskazanej mu dyrekcyi. Pułk 9-ty postępował nad samym brzegiem Tajo, zasłoniony skalistemi brzegami téj rzeki. Gdyśmy doszli do wskazanego punktu, wdarliśmy się na przykre skaliste nadbrzeża i maszerowaliśmy kolumnami po równinie. Nieprzyjaciel, co oblegał Toledo, już się zrejterował, równie i ten, który był pod Aranguez. Zeszły się pułki w stronie południowej Toledo, podobno przeszło trzy mile od tego miasta. Tam stanęliśmy obozem, obozując trzy czyli cztery dni. Dnia 11-go sierpnia 1809 roku o świcie opuściliśmy nasze stanowisko i ruszyliśmy ku Almonacide, gdzie Hiszpanie zebrawszy swoje siły około trzydziestu tysięcy czekali nas w bardzo korzystnem położeniu. Maszerowaliśmy w kolumnach to ściśniętych, to na odstęp plutonowy zawsze rozwinięci w masie. Nasza dywizya polska zajmowała prawe skrzydło. Dywizya niemiecka środek. Francuzi postępowali na lewem. Kawalerya patrolowała to na tem, to na owem skrzydle. Koło godziny 8-mej zbliżyliśmy się przed nieprzyjaciela, którego położenie było takie: Na najwyższej górze

miejsca tego starożytny zamek, przed zamkiem cokolwiek w lewo, a podług pozycyi naszej w prawo, jest mniejsza góra. O ten zamek oparli Hiszpanie swoje siły, osadziwszy i górę mniejszą przed zamkiem jak wyżej rzekłem leżącą. Na wierzchołku góry przy zamku postawili kilkanaście sztuk armat, za górą była ich rezerwa, bo tamtędy, jak się pokazało potem, myśleli zrejterować w przypadku przegranej. Otóż wyobrażenie pozycyi hiszpańskiej. Gdyśmy się zbliżyli na wystrzał armatni, najprzód przywitali nas granatami do naszych kolumn rzuconemi; nasza artylerya odpowiedziała im zaraz, która między kolumnami postępowała. Wszczął się mocny ogień działowy z obu stron. Ich wystrzały nie mało szkody robiły w naszych kolumnach, mimo tego jednak postępowaliśmy naprzód w kierunku ku górze zamkowej. Gdyśmy się już dobrze ku górze zbliżyli 1-szy batalion pułku 9-go i cały pułk 7-my z batalionem 4-go, otrzymaliśmy rozkaz odebrać bagnetem Hiszpanom górę przed zamkiem. W kolumnach do ataku pnęliśmy się po spadzistej górze, gdy artylerya nasza wspierała nas swoim ogniem, rażąc artylerya hiszpańską i ich kolumny na górze zamkowej. Wnet stanęliśmy na górze, wyparowawszy Hiszpanów, którzy w nieładzie umknęli za górę zamkową. Wziawszy górę rozwinęliśmy się do boju, oczekując dalszych rozkazów. Odbierając górę, pułkownik 7-go

pułku Sobolewski przeszyty kulą z ręcznej broni zginął po spartańsku, bo spadając z konia zachęcał jeszcze swoich zastraszonych tym śmiertelnym jego postrzałem, temi słowy: nie to, nie! dalej naprzód dzieci! Ledwo tych słów dokończył upadł i skonał. W tym samym czasie batalion 2-gi pułku 9-go uformował czworobok posuwając się zwolna w równej linii z nami odbierającymi górę przedzamkową. Gdyśmy ją już odebrali, kawalerya hiszpańska otrzymała rozkaz rozbić ten czworobok. W pędzie natarła na niego, ale zimna krew księcia Sułkowskiego przypuściwszy też kawaleryą o 3-cią część wystrzału karabinowego, tak ją przyjęła szeregowym ogniem, że natychmiast pierzchła, utraciwszy nie mało w zabitych.

Spędziwszy nieprzyjaciela z góry przedzamkowej odebraliśmy rozkaz, aby w kolumnach ściśnionych zwolna okrążyć zamek od prawej strony. Toż Francuzi czynili na swem lewem skrzydle. Jedna kolumna Francuzów zaczęła się wdzierać ku zamkowi. Widząc to Hiszpanie, że ich otoczyć chcemy, zaczęli zaraz rejterować i opuszczać górę zamkową. Nie daleko postąpiwszy za górę, uszykowali się znowu do boju, ale nie w tym celu aby walczyć o wygraną, ale aby zasłonić rejteradę, bo już z całym korpusem, zaczęli się ze wszystkim cofać. I w samej rzeczy cofnęli się w takim porządku, że

prócz zabitych stracili tylko podobno koło trzech tysięcy jak mówiono niewolników.

Kilka sztuk armat zdemontowanych i kilkanaście wozów amunicyjnych dostało się także w moc Francuzom. Kawalerya z artylerją konną ścigała cofających się, ale nie wiele im spieszenie i w porządku uchodzącym szkodzić mogła. Woltyżery z wszystkich pułków postępowały za kawaleryą dla jej zabezpieczenia.

Ta bitwa pod Almonacide, prócz wzmiankowanych korzyści tyle tylko przyniosła pożytku stronie zwyciężkiej, że się nieprzyjaciel zrejterował na dawne stanowisko w góry Siera-Morena i na parę miesięcy zostawił nas w spokoju. Ta batalia kosztowała dywizją polską niemało, jako wystawioną na najniebezpieczniejszy ogień nieprzyjacielski.

Pułk 9-ty stracił w zabitych oficerach jak następuje: szefa batalionu 1-go Sielskiego, kapitanów: Kownackiego; grenadyerów: Zalewskiego i Stablewskiego, poruczn. grenad.: Gorzyńskiego. Pułk 7-my prócz pułkownika Sobolewskiego jak nadmieniałem wyżej, utracił podpułkownika Lubę, porucznika Gajewskiego i Wiśniewskiego kapitana. Pułk 4-ty także utracił oficerów lecz nie pamiętam ich nazwisk²²).

Cała zaś dywizya polska straciła przeszło trzysta żołnierzy w zabitych. Ja co to piszę, odbierając jak wyżej wzmiankowaną górę przedzamkowa,

dostałem mocną kontuzję od kuli karabinowej w lewe ramię, która uderzyła w szlifę opuszczoną na ramieniu. Gdyby nie ta zasłona możeby ramię była strzaskała.

Siła nasza wraz z Francuzami wynosiła do 9-ciu tysięcy, Hiszpańska koło 30,000. W tej batalii dowodził naczelnie generał dywizyi Sebastyani.

Jak mówiono nie miał on rozkazu wydawać bitwy nieprzyjacielowi, tylko go małemi zaczepkami bawić, ażby nadszedł marszałek Victor z swoim korpusem, który istotnie przybył nazajutrz.

Mówiono także, że zamiast podziękowania odebrał nagane, na czem dywizya polska wiele szkodowała, bo nietylko że utraciła wiele ludzi, ale i za swe mężne potykanie się żadnej nie odebrała nagrody w krzyżach.

Po bitwie cokolwiek spoczawszy tego samego dnia przed samym wieczorem, cały korpus ruszył za nieprzyjacielem.

Drugiego dnia, 12 sierpnia stanęliśmy w Consuegra, lecz zaraz zlurowani byliśmy przez korpus marszałka Victora, a my cofnęliśmy się ku Madrytowi.

Dywizya polska za świeżo poniesione trudy miała sobie wyznaczony garnizon do spoczynku między Toledo i Madrytem. Pułk 9-ty najprzód odpocząwszy dni podobno dziewięć, udał się do

Chinhon, gdzie stał jak mi się zdaje, półtora miesiąca.

Pułk 4-ty i 7-my stały niedaleko nas po przyległych wsiach.

Koło połowy października ukończył się nasz odpoczynek. Dywizya polska zebrała się w punkt jeden. Od tej chwili zaczęły się marsze codzienne; Dzień w dzień byliśmy w ruchu, często i w nocy niefortunowano nam. Posuwaliśmy się w tył to w prawo to w lewo. Obieraliśmy pozycję, to znowu opuszczaliśmy ją. Te ustawiczne marsze kierowane przez dowodzącego naczelnie w południowej Hiszpanii marszałka Soult'a nieskończyły się aż dopiero 19 listopada, w którym to dniu przypadła sławna bitwa pod Ocanna. W czasie naszych marszów jak powiedziałem wyżej, generał Sebastyani z swoim tylko korpusem, do którego i Polacy należeliśmy, przyszedł aż do rzeczonyj wsi Ocanna przed południem. Po południu zaraz ukazał się nieprzyjaciel. Uszykowaliśmy się na południe wsi do boju. Manewrowaliśmy jakby się miała rozpocząć walka. Artylerya już zaczęła ogień działowy. Kawalerya nasza podsuwała się pod same kolumny nieprzyjacielskie. To trwało aż do nocy. Kilkunastu ludzi mieliśmy rannych. Gdy się dobrze zmierzchno, nagle opuściliśmy pozycyą i cofnęliśmy się tej samej nocy pod Toledo. Nazajutrz cofnęliśmy się dalej aż za Aranguer.

Koło tego miasta włóczyliśmy się znowo dni kilka. Tu dywizya nasza odebrała posiłki z dépôt z Bordeaux do kilkuset ludzi. Zapelniliśmy nimi szeregi przeredzone pod Almonacide, mające się wkrótce znowu przeredzić. Siły Francuzów zaczęły się nagle powiększać. Marszałek Mortier przybył także ze swoim korpusem, ale to tak zręcznie, że podobno nie wszyscy to spostrzegli. Zkoncentrowawszy się Francuzi zdawali się ukrywać siły swoje w lasku, czyli w wielkim ogrodzie pod Aranguez. Nietylko to miasto, siedlisko letnie królów hiszpańskich ale i królewskie ogrody, równie jak przyległe gaje, napchane były aż do natłoku żołnierzem, najwięcej pod wieczór przybyłym. Nazajutrz rano zdziwiło to nie jednego iż wieczorna siła wojskowa zmniejszyła się tak widocznie iż to każdy spostrzegał. Przy moście na rzece Tajo przygotowano wszystko co tylko do spiesznego spalania mostu jest potrzebnem. Wszystkie przygotowania zdawały się zapowiadać ogólną rejteradę, ale nad oczekiwanie nasze, wszystko wojsko koło południa ruszyło naprzód. Kawalerya poprzedzała piechotę. Uszedłszy koło 2 mil, piechota stanęła obozem. Wieczór się już zbliżał. Kawalerya poprzedziła nas i téj nocy zaraz atakowała nieprzyjaciela, zadawszy mu niemałą klęskę, jak można było wnosić po niewolnikach przyprowadzonych i zdobytych koniach.

Takie było to poruszenie korpusu, w którym znajdowała się dywizya nasza. Jaką wziął dyrekcyą marszałek Mortier, to mi nie jest wiadome. Raniutenko dnia 19 listopada ruszyliśmy naprzód. Przyszedszy pod samą wieś²³) zatrzymaliśmy się cokolwiek. Kawalerya nasza już zwolna flankierowała drażniąc pikiety nieprzyjacielskie. Wnet cały korpus nasz, ruszył naprzód a pułki polskie na czele, formując lewe skrzydło armii francuzkiej. W tej bitwie pod Ocanna uderzyliśmy na lewe skrzydło hiszpańskie, które zasłonięone było mocnemi bateriyami artyleryi. Puścił nieprzyjaciel na nasze kolumny rżęsiste kule działowe.

Mimo wyrywanych rot postępowaliśmy rażno zawsze naprzód, rozwinięci w masie. Hiszpanie równie od naszej artyleryi rażeni, stali nieporuszenie w dobrym porządku. Po kilkunastu ludzi z kompanii wystąpiło naprzód, aby postąpiwszy pod same szeregi hiszpańskie, razić nieprzyjaciela kulami karabinowemi. Tyraliery polskie postępowały z odwagą, a dywizya za nimi. Już zbliżyliśmy się tak blisko, że kartacze nieprzyjacielskie ogromnie nam przeredzały szeregi. Te mówię kartacze, najwięcej nam szkodziły, bo kule armatnie powiększej części górowały nad nami, ponieważ za blisko byliśmy wystrzałów armatnich. W takim zgubnem położeniu, aby żołnierzowi dodać odwagi, pułkownik książę Sułkowski

wziął chorągiew w rękę i postępował na czele. Toż uczynił i pułkownik Jakubowski dowódzca 7-go pułku piechoty polskiej.

Wystawieni na pierwszy ogień Polacy możeby byli po większej części polegli w tej walce, co zapewne uważając naczelny generał rozkazał nas sukursować dywizyi niemieckiej, która postępowała za nami. Ledwo co Niemcy przybyli, zwycięstwo przechyliło się na stronę Francuzów. Kolumny hiszpańskie chwiać się zaczęły, które dotąd jeszcze nieporuszone stały. Możeby jeszcze nieprzyjaciel chociaż kroku nie postąpił naprzód, jakby osłupiony naszym nacieraniem stał na swem miejscu, ale korpus marszałka Victora, który, jak wyżej rzekłem, znikł nam w nocy z lasu przy Aranguez, wszedł mu we flankę tak znienaćka, że nieprzyjaciel dopiero się wtenczas spostrzegł, gdy go z tyłu zaczepił. Tu naczelnie dowodzący Hiszpanami generał stracił można mówić głowę, bo wojska hiszpańskie jakby były bez wodza. Dywizyami broń składały. Jeżeli niektóre nieprzyjacielskie pułki myślały o rejteradzie, to będąc w nieładzie, zaskoczone od kawaleryi francuzkiej poddawały się bez oporu w niewolę. Zaraz po skończonej bitwie 24,000 zabraliśmy jeńców, a w nocy i nazajutrz rano rozpierzchnionych niedobitków spędziła kawalerya do 16,000. Józef Napoleon, naówczas król hiszpański, gdy już nieprzyjaciel był zła-

many przybył z swoją świtą na nasze skrzydło i dziękował wojsku za jego waleczność. Manewrami przed i samą bitwą kierował marszałek Mortier, prawdziwie godzien zaufania dowódzca, którem go Napoleon zaszczycił. W tej bitwie tyle dla Francuzów korzystnej, dywizya polska na pierwszy, na lewem skrzydle wystawiona ogień, straciła kilkaset ludzi. Oficerowie na pobojowisku polegli, których nazwiska pamiętam, są: Sierakowski podpułkownik, Rudnicki kapitan, Rowiński porucznik, Leśniewski podporucznik itd.²⁴⁾

Rannych oficerów było kilkunastu: między innemi szef batalionu Koźuchowski, który nie chcąc oddalić się od pułku, w kilka niedziel później gdyśmy przechodzili góry Siera-Morena umarł. Po bitwie pod Ocanna naznaczono korpusowi (w którym dywizya polska była) za garnizon wsie Tembleque, La Guardia i inne przyległe. Tu staliśmy jakby na zimowych kwaterach aż do pierwszych dni stycznia. Lubo w Hiszpanii osobliwie południowej nie masz zimy, listopad jednak, a szczególnie grudzień, jest chłodny i słotny. 4-go czyli 5-go stycznia 1810 r. ruszyliśmy ku Andaluzyi w kierunku ku dawnemu królestwu czyli prowincyi Jaen.

Postępując w rzeczonym kierunku przechodziliśmy przez wieś El-Jabuzo, sławną w przypadkach don

Kiszota z Manchii, przez Villrata, koło Oyas do Guadyana la Solana, przez Infantes, przez Montiel, wieśniacy nazywają to miejsce Montechon albo Montichon. Tu zaczyna się pasmo gór Siera-Morena.

W tej okolicy idąc z Manchii do Andaluzji jest tylko jeden gościniec bity, którym wozy przechodzić mogą przez El-Viso. Tego Hiszpanie najczęściej strzegli. Tym traktem inny korpus francuzki postępował. My zaś Polacy z swoim korpusem maszerowaliśmy raczej ścieżkami nie traktem, przez tak zwaną drogę Montesson (cassino de Montesson), którą krajowcy przeprowadzają obładowane muły i osły, gdyż wozy tędy przechodzić nie mogą. Spodziewali się jednak Hiszpanie, że tędy nieprzyjaciel osobliwie z kawaleryą przechodzić może, dla tego wzmocnili to przejście artyleryą i piechotą. W nieprzebytych miejscach na prędcę sporządzono drogę i artylerya francuzka więcej za pomocą żołnierzy niż koni wdarła się na góry. Krótko się broniąc nieprzyjaciel pierzchnął, zostawiwszy w mocy naszej działa i parę tysięcy niewolników. Po tej utarczce wnet stanęliśmy w Ubeda, pierwszym mieście należącym do Andaluzji czyli do prowincyi Jaen. Odtąd bez przeszkody postępowaliśmy przez Jaen, Martus, Alquadete, Alcalá-Real ku Granadzie, stolicy dawnego królestwa Granady. To miasto zastaliśmy w posiadaniu Hiszpanów, którzy za zbliżeniem się

Francuzów kapitulowali. Bronienie bowiem miasta otwartego i obszernego byłoby zuchwalstwem.²⁵⁾

Na pięknej równinie o dwie godziny od Granady leży miasteczko Santa-Fe. Izabela królowa hiszpańska oblegając Granadę naówczas stolicę Maurów, na tem miejscu kazała rozłożyć obóz wojsk chrześcijańskich, i z baraków żołnierskich powstało to miasto. A że toczyć wojnę z Machometanami było to w owym czasie walczyć za wiarę, dla tego to powstające miasto nazwano Święta-Wiara, Santa-Fe, nadając mu korzystne przywileje, mimo tego jednak nie wzniosło się do wielkości, bo dotąd jest tylko nędzną mieściną. Dowód, że nie zawsze Bóg potwierdza czyny ludzkie, które pod zasłoną świętej religii częstokroć ukrywają dumne zamiary wojowników. Święta religio! ileż to razy nie dla ciebie (bo ty niepotrzebujesz uzbrojeń ludzkich) wzywała cię duma na pomoc. Zaprawdę — na podobne świętokradztwo wzdryga się serce spokojnego człowieka. W tem świętem mieście i jego okolicach spoczął nasz korpus dni kilka. Woltyżery zaś ze wszystkich pułków, kawalerya i artylerya po większej części nie spoczywając ruszyły ku Malaga przez Locha, Arczydona, Anteguerra, a na ich czele sam dowódzca korpusu generał Sebastyani.

Gdy ta mocna awangarda ruszyła z Anteguerra, do Malaga, dla opanowania tego portowego miasta,

reszta korpusu zostawiwszy garnizon w Granadzie, ruszyła także za swą awangardą, w tym samym co ta kierunku. Dowódca korpusu stanąwszy z swą siłą pod murami Malagi, wezwał to miasto do poddania się. Mieszkańcy życzyli sobie kapitulacyi. Ale dowódca hiszpański, człowiek podobno fanatyczny, więcej zuchwały jak mężny, uparty i nieprzewidujący nieszczęścia, mało ceniący rozlew krwi ludzkiej, postanowił bronić nieumocnionego miasta. Wszystkie przystępy obsadził nie tak żołnierzem (bo ich miał mało) ale zgromadzonemi z okolicy wieśniakami i miejskim motłochem. Jenerał francuzki szturm kazał przypuścić i po krótkim oporze zdobył miasto. Ta zuchwałość obrony miasta, niemało kosztowała krwi rozlewu. Ze strony francuzkiej bardzo mało, ale pospólstwa miejskiego i wieśniaków bardzo dużo było²⁶).

Co tylko miasto wziętem zostało nadciągnęła reszta korpusu.

Żołnierz chciwy łupu brał się do rabunku, ale jenerał dowodzący wydał rozkazy, aby wstrzymać rabusiów. Do wstrzymania łupieztwa mogę twierdzić śmieie, najwięcej się przyłożyli oficerowie pułków polskich. Z wyższego rozkazu patrolowali po ulicach biorąc rabujących do aresztu. Odganiając gorliwie od domów, przyłożyli się nie mało pracą do ochrony miasta od grabieży żołnierskiej.

Po przywróceniu spokojności, usiłowali mieszkańcy wywdziękzyć się bezinteresowności polskiej. Wszystkich oficerów naszych przyjmowali u siebie jak wybawców. Nie przestając na czynionych wygodach, niektórym ofiarowali pieniądze, ale jakby się zmówili, żaden nieprzyjął ofiary. Ta bezinteresowność polska zdziwiła Hiszpanów, wiele nam wśród nich zjednała szacunku. W tem miejscu nie od rzeczy podobno będzie nadmienić o surowości generała dywizyi Sebastyaniego, który dowodził korpusem, do którego i my Polacy należeliśmy. Między niewolnikami, których przy wzięciu Malagi zabraliśmy, dostał się w moc Francuzów i dowódca hiszpański, który więcej upornie niż roztropnie bronił tego portowego miasta, nie chcąc się poddać choć był wezwany. Ten nieszczęśliwy patriota ciężko ranny, stawiony był przed sąd wojenny francuzki i jako lekkomyślny przelewca krwi ludzkiej na szubienicę wskazany. Wyrok od generała Sebastyaniego potwierdzony, natychmiast wykonany został. Dla prędkości powieszonym był na balkonie domu na placu publicznym. Czyli ten nieszczęśliwy patriota zasłużył na tak haniebną karę i czyli francuzki generał miał prawo tak surowo z nim postąpić, niech osądzi bezstronny czytelnik. Po tem zdarzeniu w dni kilka był także skazany sądem wojennym na rozstrzelanie żołnierz polski zastępca kaprała za

to, że będąc wysłany wieczorem z warty na patrol spotkanęj Hiszpance na ulicy zabrał dwie czy trzy pesety wprzód ją zawoławszy. (Peseta hiszpański pieniądz około pięćdziesięciu jeden groszy polskich.)

Po zaprowadzeniu spokojności i bezpieczeństwa w Maladze, wysłane zostały oddziały wojska w różne miejsca. Jedne poszły nad brzegami morskimi na wschód ku Almerji, inne ku Gibraltar na zachód. W Maladze samęj został na garnizonie pułk 9-ty z batalionem pułku 4-go. Pułkownik książę Sułkowski mianowany gubernatorem w prowincyi Malaga, przez swoje szlachetne postępowanie zjednał sobie ogólne przywiązanie i szacunek gdzie tylko jego rozciągała się władza.

Porzucił jednak swą władzę i miasto udając się do W. Ks. Warszawskiego na łono swojej Ojczyzny. Żałowany był od obywateli Malagi i od oficerów tych, którzy przez swoje nadskakiwania przywiązać go do siebie chcieli i potrafili. Ci zaś co bez dworszczyzny pełnili ściśle obowiązki wojskowe, chociaż go szanowali, nie żalowali jednak, bo mu mieli za złe, że dla osobistych interesów porzucił całą dywizyą polską, nad brzegami sroziemnego morza, która go uważała nietylko jako swego naczelnego dowódcę, lecz uważała go jeszcze jako obrońcę przeciw uciskom jenerałów francuzkich, gdyby się jakie zdarzyć miały. Lecz dzięki Bogu nie-

trafiły się żadne, bo Polacy przez męstwo i postępowanie bez skazy, zasłużyli sobie na powszechny szacunek nie tylko u sprzymierzeńców Francuzów ale i Hiszpanów. Po oddaleniu się ks. Sułkowskiego, dywizya Ks. Warszawskiego już nie miała żadnego pułkownika pod bronią. Odważny Sobolewski poległ na polu chwały pod Almonacide jako bohater, godzien czulego wspomnienia od potomności polskiej, a Potocki schorzały, był przymuszony opuścić spółziomków.

Po kilkunastodniowym przyjemnym pobycie w Maladze cały garnizon zebrał się na miejscu przeznaczonem i koło godziny 4-éj po południu wymaszerował, udając się ku Anteguera. Gdy się to działo całe miasto przejęte było trwogą, różne przyczyny bojaźni dla każdego, spokojni ażeby miasto opuszczone zajęte nie było przez Anglików lub patryotów, a przez Francuzów powtórnie zdobyte, musiało by znowu wycierpieć nowe klęski i straty, z których niedawno poniesionych jeszcze nie ochłonęło.

Ci którzy nam zawdzięczali daną opiekę w czasie zamieszania przy wzięciu Malagi, obawiali się zemsty od wojsk hiszpańskich a bardziej jeszcze od pospólstwa miejskiego. Najwięcej byli przestraszeni, którzy przyjęli urzędy od władzy francuzkiej. Ci ostatni udali się za wojskiem naszym.

Przybywszy do Anteguera miasta odległego od Malagi o 9 mil hiszpańskich, w stronie północnej, zostawiliśmy tam słabszych i bagaże a całe wojsko udało się ku Ronda, bo garnizon tamtejszy był zagrożony od wojska hiszpańskiego, które pod zastoną dział Gibraltarskich zbierało się w tej okolicy. Zabawiwszy w tem mieście dni kilka, gdy tylko świeży oddział francuzki przybył na wzmocnienie garnizonu dostateczny, wybrawszy mocną kontrybucją ze wsi przyległych, które sprzyjały krajowym wojskom, wróciły się wojska polskie do Anteguera.

Po tej wyprawie dywizya nasza tak rozłożoną była: Pułk 4-ty poszedł do Malagi, batalion jeden 7-go do Motril nad morze, a drugi do prowincyi Jaen. Pułk 9-ty stanął w Granadzie stolicy prowincyi tego nazwiska.

Z rzeczonych stanowisk jak potrzeba wymagała wysyłane były oddziały wojska w różnych kierunkach. A że te oddziały chodziły od wsi do wsi niezatrzymując się nigdzie długo, dla tego nazwano je kolumnami ruchomemi (*colonnes mobiles*). Kolumny takowe w tym celu ustanowione były, aby wytepić powstańców, którzy się we wsiach, między górami leżących zbierali i napastowali mniejsze garnizony i transporta francuzkie. Mimo jednak tych rozporządzeń przezornych, ciężko było przytłumić powstanie. Położenie bowiem kraju hiszpańskiego jest

takie, że wojna partyzancka nieskończenie długo przedłużoną być może. Pokąd tylko Hiszpanów miłość Ojczyzny i niepodległość prawdziwa ożywiać będzie, żaden żeby najmniejszy zdobywca, niech sobie nie pochlebia aby ten naród choćby całkiem zdobyty, mógł zupełnie uspokoić. Tu wystawić sobie można ile wycierpieć musiały rzezane oddziały ruchome, które w ustawicznej pielgrzymce, często napadnięte od powstańców z nimi bić się musiały. Rzadko oni dotrzymywali kroku, oni się bowiem kontentowali małą zadaną klęską, niechając walczyć o wygraną, a jak tylko spostrzegli że bez swjej szkody zaczepki uczynić niemoga, zrejterowali się między niedostępne skały, których bezdroża im samym jako krajowcom są znane, a ścigać ich byłoby próżnem znużeniem żołnierza.

Okolo trzech miesięcy staliśmy garnizonom w Granadzie. Gdy jenerał dowodzący w tej prowincyi miał uczynić wyprawę ku Murcyi, która jeszcze przez Francuzów zajęta niebyła, zebrał co mógł wojska i ruszył ku tej stronie. Do tej wyprawy i pułk 9-ty był użyty. Nie przyszło tam do żadnej utarczki z nieprzyjacielem, który w miarę posuwania się Francuzów cofał się ku wschodowi. O parę mil od Murcyi zatrzymał się korpus a sam jenerał na czele wołyżerskich kompanii poszedł do miasta.

Wybrawszy tam kontrybucyę jako należny podatek wówczas królowi, wrócił z całym wojskiem do prowincyi Granada. W tej wyprawie własność obywatelska święcie szanowaną była. Po spokojnem powrocie pułkowi 9-mu polskiemu już nie Granadę ale Almeriã miasto nad morzem leżące wyznaczono na garnizon. Batalion 1-szy z kompaniami grenadyerskiemi stał w samym mieście. Batalion 2-gi kompaniami rozlokowany był po wsiach po nad granicã Murcyi i dwie kompanie woltyżerskie tak, iż te jakoby łańcuch formujący w każdym przypadku zebrać się mogły. Małe kolumny ruchome wysyłane z miasta manewrowały w okolicy stósownie do rozkazów gubernatora. Gubernator garnizonowego miasta i okolicy był dowódzca pułku 9-go naówczas major Grotowski. Ten wyższy oficer staropolskiej enoty, bezinteresowny i gościnnie, ponieważ tu bezpośrednio dowodząc Polakami i prowincyã zjednał sobie miłość powszechnã, bo się stał jej godnym. Szanowali go swoi i Hiszpanie. Ile ostatni lubili Polaków i ich dowódcę gubernatora, przekonać się czytelnik może z następującego zdarzenia. Jenerał Sebastyani zrobił drugã wyprawę ku Murcyi. Pułk 9-ty do tej należał. Opuszczając Almeriã był przymuszony zostawić tam jednego kapitana, ciężko ranego w kolumnie ruchomej pod opiekã miasta. Po wyjściu naszym oddział nieprzyjacielski odwiedził to

od nas opuszczone miejsce i nietylko w kapitanie naszym opiekę miasta szanował, ale odwiedzając go, prawdziwie po przyjacielsku z nim się obchodził, nazywając go bratem dobrych i wspaniałych Polaków. Ażeby i gubernatorowi Polakowi dać dowód szacunku, wszystkie odezwy i urządzenia francuzkie gdzie tylko po ulicach poprzybijane znaleźli pozrywali i podarli. Rozkazy zaś od gubernatora miasta majora Grotowskiego wydane, szanując je nietknięte zostawili. Garnizon Almerii był dla nas przyjemny.

Spokojnie wśród gościnnych Hiszpanów jakby należący do ich rodziny, bawiliśmy się otwarcie dobrze od gospodarzy przyjmowani. W dobrem tem mieście familia Gutzmanów szczególnie się odznaczyła gościnnością. To godne małżeństwo nazwać by można wzorowem, nietylko co do pożycia domowego ale i co do ludzkości i dobroczynienia. Byli to ludzie majątni. On rodem Amerykanin ona Hiszpanka. Oboje jakby ich jedna ożywiła dusza, jedną prawie kierowali się wola. Mąż się w niczem nie sprzeciwiał żonie, ta znając cnotliwy sposób myślenia jego, największe szczęście znajdowała w wykonywaniu tego co się mężowi podobać mogło. To godne małżeństwo pełne cnót domowych i obywatelskich było rzędne i gospodarne. Dla tego podobno znacznego dorobili się majątku. W ich go-

ściennym domu wszyscy oficerowie zbierali się zwyczajnie, bo to cieszyło tego szanownego męża, kiedy choć jednego brakowało, troskliwie się wypytywał dla jakiej to uczynił przyczyny, jeżeli go koledzy nie zapewnili że był na służbie, lub że jaka ważna przyczyna była powodem niebytności jego, sam pobiegł po niego i sprowadził do domu swego. Aby się jego goście w niczem nie żenowali, obrał z pomiędzy oficerów na zawsze gospodarzem Ignacego Przeszkodzińskiego, aby ten przyjmował według polskiego zwyczaju oficerów, oddając mu pod dozór piwnicę, kuchnię i spiżarnię. Sobie tylko tę nad nim zostawił władzę, aby nie oszczędzał coby do ukontentowania oficerów potrzebnem było. My z naszej strony staraliśmy się bawić wesoło ale przystojnie i spokojnie, szczególnież zalecaliśmy wybranemu gospodarzowi aby zanadto nie szafował Bachusa darami, — w które, w rozmaitym gatunku obfitowała naszego patryarchy piwnica. Nietylko dla Polaków był on tak hojny i gościnny. Wszyscy mieszkańcy tego miasta mieli w nim przyjaciela i dobroczyńcę, znał on wszystkich biednych, osobliwie tych których niesprawiedliwie prześladowało nieszczęście. W owym czasie wojennym gdy zwycięzcy nakładali kontrybucyą, on nieczekając prośby, płacił za tych o których wiedział że nie byli w stanie takowego podatku zapłacić. Tego osobliwego czło-

wieka nazwać można bez pochlebstwa ojcem sierót i nieszczęśliwych.

W wyprawie do Murcyi, o której wyżej nadmieniałem, następujące zdarzenie warte mi się być zdaje aby je w tem piśmie nie pominąć. Wkraczając do tej prowincyi generał Sebastyani dowodzący naczelnie, ponowił rozkaz dzienny, aby wojskowi każdego stopnia, jak najświęciej szanowali własność każdego mieszkańca i aby się jak najspokojniej sprawowali. Że każdy rabujący śmiercią karany będzie. W Lorka mieście na pograniczu Murcyi żołnierz francuzki od pociągu wziął gwałtem Hiszpance kure i jaj kilkanaście. Ukrzywdzona oskarżyła go i ten nieszczęśliwy za tę małą grabież rozstrzelany został. Sroga kara, ale dla utrzymania w posłuszeństwie niesfornych potrzebna.

Jak mała liczba odważnych oprzeć się może kilkanaście razy przewyższającej sile, dowodzi następujący wojenny wypadek. Działo się to także na pograniczu Murcyi. Kilku kawalerzystów francuzkich pod zasłoną trzydziestu kilku Polaków z pułku 9-go piechoty, pod dowództwem polskiego porucznika Boté wysłanych było na zwiady (patrol) o dwie mile naprzód. Ten oficer przyszedłszy z oddziałem swoim do wsi wskazanej, obrał sobie pozycyą przed wsią, wysławszy do niej kilku kawalerzystów, aby się dowiedzieli czy w niej znajduje

się nieprzyjaciel. Aktualnie była tam ukryta jazda hiszpańska z kilkuset ludzi złożona, która spostrzegłszy mały oddział naszych ściągnęła swoje pikiety z przed wsi aby się nie domyślić o jój tam pobycie. Ledwo co do wsi wkroczyli Francuzi spostrzegli nieprzyjaciela i w galop cofnęli się nazad. W pędzie mijając oddział Polaków, ostrzegli go o niebezpieczeństwie. Porucznik Boté spiesznie cofnął się na przyległy wzgórek i tam czekał nieprzyjaciela, od którego wnet otoczony i do poddania się wezwany został. Gdy to usłyszeli żołnierze jednozgodnie krzyknęli: „Nie poddawajmy się panie poruczniku tym brygantom.“ (Tak nasi żołnierze nazywali powstańców hiszpańskich). Porucznik korzystając z ich zapału odpowiedział: „Ja nie myślę się poddawać — brońmy się do ostatniego a zaręczam wam, że wnet dostaniemy posiłek.“ Gdy nasz oddział nie chciał się poddać, otoczył go ze wszystkich stron nieprzyjaciel i zaczął nań nacierać sypiąc karabinowy ogień. Oddział broniąc się to samo robił. Widząc Hiszpanie że nacieraniem tem nie wezmą ich, na inny wzięli się sposób.

Wzgórek, na którym się bronili był zarosły dzikim rozmarynem i innym krzewiem suchym. Zapalił nieprzyjaciel to zielsko. Płomień prędko ogarnął ten wzgórek. Oddział przymuszony był przedzierać się przez nieprzyjaciela i ogień, uformo-

wał mały czworobok, wziął inną pozycją i znowu się bronił. Taka odporna obrona trwała przeszło trzy godziny. Czterykroć wezwani do poddania się nie przyjęli wezwania, aż nareszcie przybył posiłek. Nieprzyjaciel cofnął się a oddział połączył się ze swymi. W tej obronie kilku rannymi zostało żołnierzy, między niemi jeden śmiertelnie. Hiszpanie podług rachuby porucznika Boté mieli rannych w czwórnasób więcej.

Po wyprawie do Murcyi 2-gi batalion pułku 9-go poszedł do Granady, a 1-szy prócz kompanii grenadyerów najprzód ku Anteguera, ku Maladze, a potem do Sewilli.

W tym czasie Anglicy i Hiszpanie połączywszy się, w znacznej sile grozili wojsku francuzkiemu, stojącemu w prowincyi sewilskiej. Wojsku zaś francuzkiemu stojącemu w królestwie Granada, zagrażał korpus hiszpański, zostający pod dowództwem generała Blake w Murcyi.

Jak mówiono ten korpus murcyjski Hiszpanów miał być mocny do trzydziestu tysięcy.

W takim położeniu rzeczy marszałek Soult, naczelnie dowodzący w całej południowej Hiszpanii, w ten sposób wziął się do obrony. Nie mając tyle wojska, aby razem uderzył i na korpus nieprzyjacielski murcyjski i na korpus angielski, który ku Sewilli zmierzał, wziął większą połowę korpusu roz-

łożonego w okolicach Granady i cały korpus sewilski i ruszył przeciwko Anglikom. W tym samym czasie generał Sebastyani, stosownie do planów Soulta, został z połową korpusu w królestwie Granady, aby uważał poruszenia generała hiszpańskiego Blaka od strony Murcyi. Sebastyani z swego rozdwojonego korpusu pozostawiał w znaczniejszych miastach małe garnizony, a z resztą wojska ruszył ku Murcyi, rozłożył obozy między Guadix i Baza.

Te obozy były małymi, bo miał mało wojska, a w nocy jeszcze każdy na więcej obozów rozdzielał, aby szeroko rozpalonemi ogniami pokazał niedaleko stojącemu nieprzyjacielowi, iż ma znaczne siły. Istotnie zaś całe nasze siły obozowe składały się z 2-go batalionu 9-go pułku Polaków, z kompanii grenadyerów 1-go batalionu tegoż pułku, z pułku piechoty francuzkiej, z kilkunastu armat i może dwóch szwadronów kawaleryi także francuzkiej, bo lansyery polskie i pierwszy batalion Polaków poszli do korpusu marszałka Soulta. Ogniove obozy nocne tak robiliśmy: z wieczora wysyłano dwie kompanie do pewnej odległości wskazanej i te rozniecały ile mogły najwięcej ogni, raniuteńko zaś wracały na swoje miejsca dniowe. Tak łudziliśmy nieprzyjaciela przez kilkanaście dni. To rozdzielenie korpusu i inne manewra tak zręcznie czynione były, iż Hiszpanie o nich wiedzieć nie musieli. Inaczej generał

Blake byłby nas może wyparował z całej prowincyi granadzkiej, albo przynajmniej o wielką stratę przypawił. Gdyśmy tu małemi zaczepkami drżaliśmy korpus nieprzyjacielski murcyjski, marszałek Soult w prowincyi sewilskiej pod Albuera wydał Anglikom bitwę i chociaż ich korpusu nie zniszczył, przymusił ich jednak do cofnięcia się. Ułany polskie, jak sami oficerowie francuzcy (chociaż tylko jak to mówią dotknięciem prawdy) przyznawali, iż wiele przyczynili się, że z pozycyi ustąpili Anglicy; w tej bitwie kawalerya polska wiele ucierpiała.²⁷⁾

Po tej bitwie marszałek Soult nie korzystając z cofnięcia się Anglików, zostawiwszy niejaka siłę do uważania ich obrotów, sam z resztą wojska ruszył ku Granadzie nam na pomoc. Nim się zbliżył do tego miasta, wysłał bokiem dywizyą francuzką pod komendą jenerała francuzkiego Oudinot przez prowincyą Jaen, aby ten przeciął odwrót korpusowi hiszpańskiemu, gdy się będzie cofał, wyznaczyszy punkt gdzie miał zająć pozycyą. Jenerałowi zaś Sebastyanemu wyznaczył dzień i godzinę, w której z swoją małą siłą miał dzielnie zaczepić korpus hiszpański murcyjski. Sam zaś Soult tak wyrachował swe marsze, że miał przybyć na sam czas, gdy zwawa walka będzie rozpoczęta. Sebastyani wypełnił rozkaz co do joty. Ale jenerał Oudinot nie doszedł do wskazanej pozycyi, spóźnił się o dwie



godziny. Walka, jak nadmienilem wyżej, zaczęła się i nieprzyjaciel żwawo na nas nacierał, lecz poznawszy, że nam marszałek Soult idzie na pomoc, cofnął się spiesźnie i przez tę samą pozycyę, na której miała go czekać dywizya Oudinot'a, wysłiznął się z rąk marszałka Soulta, który jak mu wszyscy przyznawali był wielkim jenerałem i wyrachowanym manewrzystą. Było to całą winą Oudinota, bo jak mówili wszyscy, tego samego dnia zadługo spoczywał w marszu, rozdzielając zadługo żywność między żołnierzy. Niezmiernie się rozgniewał marszałek za to spóźnienie i groził Oudinotowi sądem wojennym, jeżeli jeszcze raz coś podobnego zrobi. Gdy tym sposobem oskrzydłony korpus hiszpański murcyjski uszedł z przygotowanej mu matni, większa część wojsk poszła ku Sewilli, zaś mniejsza rozlokowana została w prowincyi Granada. Dywizya jenerała Oudinot zajęła nadmorskie miasto Almeria, dawne nasze stanowisko.

Wkrótce potem zaszło następujące zdarzenie wojskowe, w którym miał swój udział jenerał Oudinot. Znaczny oddział Hiszpanów wylądował niedaleko Motril i zmierzał ku Granadzie, w której batalion 2-gi pułku 9-go pol. i z batalionu 1-go grenadyer. stały garnizonem. Z rozkazu marszałka Soulta wysłany był pułkownik dragonów francuzkich z kilkudziesiąt dragonami i z dwiema kompaniami fizylierów

polskich naprzeciw temu dosyć mocnemu oddziałowi hiszpańskiemu, co wylądował jak wyżej wzmiankowałem. Pułkownik dragonów miał ten oddział nieprzyjacielski zwabić jak najbliżej ku Granadzie, a generał Oudinot na czele jednej brygady miał wyjść z Almeryi, ciągnąc nad brzegiem morskim ku Motryl i tym sposobem odciąć Hiszpanów od morza. I tu ten opieszawy generał spóźnił się, a nieostrożny pułkownik francuzki przez złe rozłożenie swego oddziału wplątawszy w niebezpieczeństwo dwie kompanie polskie, sam się spiesznie z swemi dragonami wycofał, a Polaków w niebezpiecznej pozycji zostawił. Polacy mężnie się broniąc, a nie mogąc doczekać się pomocy, uledek musieli przemocy i powiększej części z trzema oficerami zabrani zostali w niewolą. Natychmiast z tą zdobyczą cofnął się nieprzyjaciel ku morzu i wsiadł na okręty, a generał Oudinot nietylko przez swe spóźnienie nie odciął ich od morza, ale i tego nieszczęścia Polaków drugą był przyczyną. Ten generał nie mogąc przeżyć tego drugiego błędu, kulą z pistoletu życie sobie odebrał.

Okolo tego czasu batalion 1-szy pułku 9-go miał następujący przypadek. Od niejakiego czasu batalion ten miał w Anteguera swój punkt zebrania. Miasteczko to leży jakby w miejscu środkowem między Granadą, Malagą i Sewillą, dla tego używano tego batalionu ruchomych kolumn jak wyma-

gała potrzeba w różnych kierunkach. Między innemi odebrał raz rozkaz żeby się udał do Ronda. Postępując w tym kierunku stanął na nocleg w Moron gdzie stał mały garnizon Francuzów. Dowódzca tego batalionu podpułkownik Jasiński, oficer odważny, stały i roztropny zapytywał się komendanta garnizonu, czyli okolica przez którą miał przechodzić nie miała w bliskości nieprzyjaciela. Francuz zapewnił że wszystko było bezpiecznie. Mimo takiego zapewnienia, dowódzca tego batalionu wyruszywszy z miejsca, kazał postępować w szyku wojennym aby w przypadku spotkania się z nieprzyjacielem mógł batalion rozwinąć się snadnie do boju.

Przybywszy w swój podróży do wąwozu ciasnego, przez który tylko rotami postępować było można, dał rozkaz kapitanowi, który z kompanią w przedniej szedł straży, aby jak najostrożniej postępował mając po bokach flankierów, ile że okolica wąwozu była zarosła krzakami. Kapitan postępujący naprzód niedopełnił rozkazu co do flankierów. Skoro więc wyszedł z wąwozu postępował między krzewina, wśród której był nieprzyjaciel na zasadzce ukryty. Nagle podniosły się liczne szeregi Hiszpanów w zaroślach ukryte z obu stron drogi i razem sypnęli ogień na awangardę, która odrazu utraciła do połowy swych ludzi. Na ten znak po wszystkich wzgórzach przyległych pokazał się nieprzyjaciel,

a mając batalion w pośrodku niezmiernie raził go karabinowym ogniem. Mężny podpułkownik Jasiński usiłował w pędzie wyprowadzić batalion z wąwozu i uszykować do boju. Podzieliwszy go jak uznał potrzebę, sam na czele jednego oddziału usiłował spędzić nieprzyjaciela ze wzgórza, z którego najczęściej raził naszych. Dokazał co zamyślał lecz przeszyty kulą poległ, mężnie broniąc batalionu i sławy Polaków. Oficerowie i żołnierze uczuli głęboki żal z utraty mężnego dowódcy, ale zagrzani jego mężstwa przykładem, wśród tak wielkiego niebezpieczeństwa przerznęli się przez nieprzyjaciela i znaczną zadawszy mu klęskę zrejęterowali się w porządku ku Moron, z kąd wyszli uprowadziwszy z sobą prawie wszystkich rannych. Chcieli unieść z sobą i zwłoki odważnego podpułkownika, ale mężni żołnierze wybrani do tego czynu, padli ofiarą swjej odwagi. Co widząc oficerowie kazali zaniechać przedsięwzięcia, aby nie powiększać znacznej już straty. Prócz dowódcy batalionu utracili jeszcze jedną ofiarę, porucznika Larczego i dosyć żołnierzy, a cała awangarda zabrana została do niewoli z swoim kapitanem, który największą jest przyczyną tego nieszczęścia, że niedopełnił rozkazu²⁸).

Przed tem zdarzeniem batalionu 1-go pułku 9-go oddział pułku 4-go W. Ks. Warszawskiego przeszło trzysta ludzi mocny, był wysłany z miasta nadmor-

skiego Malagi, gdzie tenże pułk garnizował do Funheroli zamku nadmorskiego i jego okolic. Oddział ten pod komendą szefa batalionu Bronisza zostający stosownie do rozkazu był podzielony. Kapitan Młokosiewicz w kilkadziesiąt ludzi zajął zamek Funherolę. Porucznik Chełmicki był zostawiony we wsi Mihas niedaleko rzeczonoego zamku z 40 ludźmi. Z tej wsi można dobrze widzieć przestrzeń morza. Szef Bronisz mający oficerów kapitana Płacheckiego, porucznika Osieckiego i podporucznika Petit, z resztą oddziału odbywał w tej okolicy ruch wojskowy.

W kilka czyli kilkanaście dni po rozlokowaniu oddziału, porucznik Chełmicki stojący w Mihas spostrzegł znaczną flotę na morzu, która przybliżając się wraz do brzegu rozpoczęła nareszcie wysadzać swoje wojska na ląd. Po rozpoznaniu przekonał się, że to byli nieprzyjaciele Anglicy i Hiszpanie, których liczba razem około 2000 wynosić mogła. Tak przekonany porucznik Chełmicki natychmiast dał znać podpułkownikowi Broniszowi o niebezpieczeństwie, jakie grozi Funherolskiemu zamkowi, ponieważ spostrzegł i to, że nieprzyjaciel tam swoją przednią straż skierował.

Sam zaś z swoim małym oddziałem zamknął się w koszarach i porozstawiał czaty, jakby się bronić zamysłał. Gdy noc nadeszła, aby oszukiwać mieszkańców Mihas, wziął żywność na kilka dni

i zatarasowawszy wchodową bramę, oknami tylnymi koszar, czyli raczej domu, który stał na krawędzi wsi, spuścił się z oddziałem w cichości i za pomocą ciemnej nocy stanął szczęśliwie w zamku funhe-rolskim.

Jak tylko dobrze dzień zajaśniał, nieprzyjaciel z morza i lądu zaczął bombardować zamek, a że artylerya lądowa nieprzyjacielska nie była liczna i pod niewielką zasłoną, porucznik Chełmicki nalegał na kapitana Młokosiewicza, aby mu pozwolił z przeprowadzonym oddziałem uczynić wycieczkę. Czemu gdy się nie sprzeciwił komenderujący, wpadł żwawo na armaty z boku i artylerzystów i asekurujących od armat odpędził, nie mogąc się atoli przy zdobytych armatach utrzymać, zrejtował do zamku.

Osada zamkowa z dział żelaznych razila jak mogła nieprzyjaciela. Żołnierze osady, między którymi odznaczył się naówczas sierżant Zakrzewski, a po tej aferze oficer, który szalupę kanonierską zatopił.

Gdy się to działo w zamku, szef batalionu Bronisz poszedł z całym swym oddziałem do Michas, gdzie stanawszy w nocy i nie zastawszy oddziału porucznika Chełmickiego, aby odpocząć żołnierzom, stanął na placu pod bronią i porozstawiawszy sztyldwachy — spoczywał. Po niejakić chwili spostrzegli nasi, że znaczny oddział Anglików przechodzi wedle

tęj samej wsi i zmierza ku Funheroli. Przepuścili go, a sami w cichości z największą ostrożnością posunęli się za nimi.

Gdy już nieprzyjaciel dobrze się zbliżył ku zamkowi, nasi zaatakowali go raptem i żwawo, co usłyszawszy osada zamkowa, mocniejszą jak pierwszy raz uczyniła wycieczkę i na artylerją ich uderzywszy, powtórnie armaty zabrała i te na nieprzyjaciela zwróciła. Tak żywym atakiem strwożeni, Anglicy wpadłszy w zupełny nieład poddali się, a ich rezerwa zrejterowawszy się ku swoim statkom, wsiadła na nie i najspieszniej popłynęła na morze. W tej aferze lubo wszyscy odznaczyli się odwagą, szczególnież jednak Chełmicki i Osiecki porucznikowie. Przeszło 400 niewolników, kilka oficerów i jeden generał dostali się w moc naszą. Nie będąc w tym pułku, to com tu opisał słyszałem od oficerów, a szczególnież od doktora ich pułku Grigowicza.

Nie wiedząc straty naszej, następującą tylko wymienić mogę, iż porucznik Chełmicki był ciężko ranny, bom go już rannego odwiedzał w Maladze, znajdując się tam za rozkazem w interesie pułkowym.

Na początku 1812 roku, a koło połowy czwartego naszego w Hiszpanii pobytu, odebraliśmy przyjemny dla nas rozkaz, że wracamy do Polski, drogięj Ojczyzny naszej. Rozkaz ten zastał nas w ruchu wojennym naprzeciw nieprzyjaciela, który od Gibrál-

taru zdawał się zagrażać prowincyi Granada, w której dywizya polska wówczas się znajdowała. Miejsca przez nas bronione zajęli Francuzi, a my udaliśmy się podług rozkazu ku Polsce. Następujący trakt był nam przepisany, którego spis między innymi niezatracenymi papierami znalazłszy, wiernie tu odpisuję.²⁹⁾

W Mayence czyli Moguncyi pokazują cmentarz rzymski; nadgroby z kamieni granitowych z jednej strony, gdzie napisy dosyć dobrze zachowane. Z tego cmentarza widać opodal rozwaliny murów także z wodociągu rzymskiego.

W tem mieście żołnierze z pułku 9-go, w którym i ja byłem, na samym wymarszu do Frankfurtu, gdy już stali w szeregach, na komendę: na ramię broń! zamiast wziąć broń podług komendy, złożyli ją w kozły i odstąpili pomieszawszy się w nieładzie. Pułkownikowi nieprzytomnemu zameldował podpułkownik, zastępca jego, to nieposłuszeństwo żołnierzy. Przybiegł pułkownik na koniu, ale i jego komendzie, mimo wszelkiej usilności oficerów, nie chcieli być posłusznymi, chcieli koniecznie zapłacenia zaległego żołdu. Nieposłuszni mówili między sobą: jak tylko przejdziemy Ren, to może nic albo mało co z naszego żołdu zapłacą nam. Nasi panowie dawniej i teraz radzi z nas żyć z krzywdą naszą, prowadzą nas na wojnę, gdzie może wszyscy wyginie i tak

nasz żołd już zasłużony zabiera, a przecież go pułkownik już od rządu francuzkiego odebrał.“ Zaręczono im, że w Frankfurcie odbierają, ale i to nie pomogło. Rozeszli się potem w nieładzie i udali się do marszałka Kellermanna na skargę, który był gubernatorem prowincyi nadreńskiej i znajdował się natenczas w Moguncyi. Marszałek rozkazał im być posłusznymi, mówiąc do nich prawie te słowa: „Dobrzy żołnierze przez nieposłuszeństwo i niesformość nie dopominają się żołdu. Żalić się wam przed inspektorami wolno, ale nie buntować, biore wam jednak pod moją opiekę i zaręczam wam, że swój żołd odbierzecie, będę ja się i w Polsce o to dopytywał. Teraz idźcie i maszerujcie, gdzie was wasi oficerowie poprowadzą.“ Na to zaręczenie marszałka stali się posłusznymi i chętnie udali się w dalszy pochód. Pułkownik został od marszałka zgromiony, że nie umie zaufania w swoich podkomendnych wpoić. Zalecił mu oraz, aby żołnierzom odebranego dla nich żołdu nie zatrzymywał. Na to napomnie- zasłużył podobno pułkownik. Był to człowiek odważny, ale marnotrawny i zysków chciwy. Podobnie niesformym pokazał się i pułk 4-ty w Bordeaux, również powracający z Hiszpanii i należący także do dywizyi Księstwa Warszawskiego.

Co organizujecie pułki, miejcie z tego przy- padku przestrożę. Na naczelników pułków obieraj-


cie ludzi ile być może najmniej interesownych, charakteru niezachwianego, do kraju sercem i duszą przywiązanych, sprawiedliwych i znających się na ludziach, aby i ci potrafili dobierać do przedstawienia na oficerów z podoficerów ludzi mężnych i rozsądnych, a z pomiędzy tych obierali na kapitanów takich, którzyby byli w stanie z ludzi surowych utworzyć żołnierzy bitnych, przejętych swoim powołaniem, karnych, ale karnych nie niewolników, lecz z przekonania. Stopień kapitana jest ważnym stopniem w wojsku. Naczelnik wojska biegły, roztropny, przenikliwy i zimnej krwi może być pewnym zwycięstwem z pułkami podobnie uorganizowanymi.

Dnia 14-go czerwca z Moguncyi udał się pułk przez Frankfurt nad Menem, przez Hanau, przez Fulde, Gotha, Erfurt, Lipsk do Berlina, gdzie stanął 7-go lipca. Tu się połączył pułk nasz z korpusem 9-tym wojska francuzkiego, którym dowodził marszałek francuzki Victor. Pułki W. X. Warszawskiego 4-ty, 7-my i 9-ty wzięte z Hiszpanii i wcielone do rzezonego korpusu, dostały za dowódcę generała dywizyi Girard, człowieka ze wszech miar godnego. Był to generał w całym znaczeniu tego wyrazu. Gorliwy, odważny i gdyby Francuzi w polowie takich mieli oficerów, ani głód, ani mrozy, ani nieprzyjaciel całej połączonej Europy nie byłby ich zwalczył.³⁰⁾

Po odprawionym przeglądzie przez marszałka Victora, ruszyliśmy za wielką armią francuzką, której przednie straże już podobno były za Wilnem. Przechodziliśmy przez Gdańsk, Elbląg, Królewiec, Tylzę, gdzie przed pięciu laty zawarł Napoleon pokój z Rosją i jej sprzymierzeńcem królem pruskim. Tym traktatem Tylżyckim zapewniony był byt W. X. Warszawskiego. Patryoci polscy nie bardzo byli kontenci z utworzenia tego księstwa, bo się spodziewali wskrzeszenia polskiego królestwa. Zostali jednak równo przywiązani do cesarza Francuzów, bo go uważali za jedynego bohatera, który był mocen chociaż później przywrócić zupełny byt ich ukochanej Ojczyzny. Dla tego z podwójną ochotą służyli sprawie francuzkiej.



Wojna z Rosyą 1812 r.

 okolicy Tylży dywizya polska zabawiwszy dni kilka, ruszyła z korpusem 9-tym w dalszy pochód przez Kowno, Wilno, Mińsk do Smoleńska, gdzie stanęliśmy ku końcowi września.³¹⁾

To miasto murem starożytnym przeszło 5 łokci grubym obwarowane, zdobyli Francuzi wraz z Polakami, których tam dosyć zginęło (między innymi generał Grabowski) przed dwiema tygodniami przed naszym do niego przybyciem.³²⁾

Od Mińska zaczawszy, już postrzegać dawały się skutki niekarności francuzkiej, która zdawała się kończyć zniszczenie tego, co Rosyane w cofaniu nie zniszczyli. Dowódcy pułków już przymuszeni byli starać się często o żywność dla swoich żołnierzy, ponieważ intendenci i komisarze wojenni dostarczać teje regularnie zaprzestali. Z tego powodu

rozchodziły się między wojskiem pogłoski, że francuzcy komisarze, ordonatorowie i ich naczelnicy frymarczyli na swą korzyść żywnością. Gromady bydła za armią idące, po większej części przez niedozór niszczały i swą zgnilizną zarażały trakty. W Smoleńsku i okolicach rozłożonymi będąc, rozumieliśmy, że się posuniemy za wielką armią ku Moskwie. Tymczasem nasz korpus dostał przeciwny rozkaz udania się ku Połocku. Po kilku marszach stanęliśmy pod Czaśnikami. Tam zastaliśmy zupełnie osłabiony cofający się korpus francuzki, który oblegał Połock. Liczny korpus Rosyan pod dowództwem jen. Wittgenstejna ścigał cofających się Francuzów.³³⁾

Pod tem miasteczkiem mieliśmy po dwakroć żwawą utarczkę z Wittgenstejnem. Te utarczki wkrótce jedna po drugiej nastąpiły, chociaż z niejaką korzyścią dla Francuzów, dywizya jednak polska wiele ucierpiała; pierwszy raz bowiem zmieniając pozycyą, zasłaniać musiała obroty całego korpusu, który się szykował do boju na drugiej stronie rzeczki (przy Smolanach), która niedaleko od Czaśnik płynie. W tem pierwszym spotkaniu, straciliśmy kilku oficerów zabitych i kilkunastu rannych. Żołnierzy zabitych i rannych było może z okładem 200. Gdy ogień ustał i zupełny zmierzch zapadł, usunęliśmy się z miejsca potyczki jak najciszej w bok ku

wschodowi, tak jakbyśmy nieprzyjacielowi robili miejsce do posunięcia się naprzód. Uszedłszy może milę w naszym kierunku noca, nie przechodząc przez żadną wieś, stanęliśmy obozem w otwartym polu i tam spoczęliśmy aż do dnia białego. Ten obrót nie udał się marszałkowi naszemu, bo nieprzyjaciel nie ruszył się z swojej pozycji.³⁴⁾

Gdy dobrze dzień zajaśniał widocznie zaczęliśmy się cofać, ale i tu nie posunął się nieprzyjaciel za nami. Robiliśmy różne marsze nie oddalając się od naszych wrogów daleko. W kilka dni odważyli się Rosyanie ruszyć za nami, ale nas nie zaczepili. Co widząc nasz marszałek nagle uderzył na nich i uchodzących zapędził na dawniejsze pobojowisko za rzeczkę pod Czaśniki miasteczko. W tem cofaniu się Rosyanie wiele utracili w zabitych i rannych. Drogi zasłane były ich trupami.³⁵⁾

Jak tylko nieprzyjaciel przepawił przez wzmiankowaną rzeczkę, uszykował się do boju, my również zajęliśmy dawniejszą pozycją i zaczęła się żwawa kanonada wzajemna, lecz bez żadnej korzyści stron obydwoh skończyła się dopiero w nocy.³⁶⁾

Zostaliśmy na pozycji a Rosyanie cofnęli się nieco, lecz i my nie posunęliśmy się za nimi. Nasz marszałek zdawał się tylko mieć baczenie na ich obroty i przestał działać zaczepnie. Po rozmaitych w tej okolicy marszach nagle udaliśmy się w stronę

zachodnio-południową, ku traktowi którym wielka armia francuzka cofała się. Działo się to pierwszych dni listopada 1812 roku. Mrozy już były ostre i wiatry zimne. Te mrozy zaczęte jak już mówiłem na początku listopada powiększały się stopniami aż do Bożego Narodzenia. Dochodziło, często do dwudziestu kilku stopni. Gdyśmy przybyli do traktu cofającej się z pod Moskwy wielkiej armii, mocno zdziwieni byliśmy, widząc te zwycięzkie hufce w nieładzie zupełnym. Wojsko to niegdyś regularnie ubrane, teraz walcząc z zimnem, okryte różnego gatunku futrami, płaszczami i sukmanami, salopami, jupkami, kabatami kobiecemi, różnym żydowskim strojem, rozmaitych tych prowincyi przez które się cofali, czapkach i ubraniach, wojsko to w cofaniu swoim podobnem było do owych hord tatarskich, jak ich dziejopisowie malują, kiedy ci dawnemi czasy napadając kraje Europy obciążeni łupami, a ścigani od zebranych wojsk naszych uciekali do dzikich stepów swoich.

Tu korpusu naszego 9-go, który się dotąd dosyć dobrze trzymał i dosyć był liczny, podwoiła się praca. Musieliśmy bowiem dzień w dzień bić się z nieprzyjacielem, zasłaniając siebie i całą armią. Mieliśmy zawsze w obserwacyi mocny korpus nieprzyjacielski pod dowództwem Wittgenstejna, który przeciąć usiłował rejteradę wielkiej armii.

W takiej samej obserwacji trzymany był inny korpus nieprzyjacielski, który po uczynionym pokoju z Turkami, przerznął się w tył francuzkiej armii przez dywizye polskie pod dowództwem jenerałów Zajączka i Dąbrowskiego. Z tym drugim korpusem nieprzyjacielskim po dwakroć stoczyli Polacy bitwę pod Borysowem, przez co przeszkodzili nieprzyjacielowi że niedokazał swego zamysłu. Tam Polacy mieli uciepieć wiele. Ale wrómy się do korpusu marszałka Victora, do którego dywizya polska W. Ks. Warszawskiego była wcielona. Widok takiego nieładu miał wpływ na karność żołnierzy naszego korpusu. Ciężej było utrzymać ich w szeregach. Pod pozorem szukania żywności (ile że już dostarczana nie była przez wyznaczone do tego władze) puszczałi się na włóczęgę. My jednak oficerowie polscy naszą gorliwością i przykładem w cierpieniu głodów i znoszeniu mrozów, obroniliśmy nasze polskie pułki od widzianego rozprzężenia i po większej części utrzymaliśmy przy chorągwiach. Nasi Polacy od młodości zahartowani w niewygodach a w Hiszpanii do ustawicznych marszów i pracy przyzwyczajeni, trzymaliśmy się dosyć zdrowo i opierali się mocno głodowi i mrozom. Brygada saska, która do naszej dywizyi była przyłączona, już nie była tak wytrzymała. Osobliwie na dyssenterya zapadłych miała wiele chorych, przez co niemało ich

od zimna skostniało. W cofaniu dosyć porządnem, bijąc się z nieprzyjacielem przybliżyliśmy się z naszym korpusem do Berezyny. Na drugiej stronie tej rzeki już się znajdował korpus nieprzyjacielski podobno Czyczakowa, o którym wspomnieliśmy wyżej. Przeciw niemu korpus francuzki po większej części z Polaków złożony był wysłany; chociaż nasi zupełnie nie porazili nieprzyjaciela, utrzymali się jednak na placu i przeszkodzili zamysłom jego w przecięciu rejterady naszej.

Gdy się to działo zbliżaliśmy się do tej samej rzeki z korpusem naszym, mając na karku Wittgenstejna i inny korpus, który ścigał wielką armią; wielka armia bowiem już prawie cała była w zupełnym nieporządku.

Żołnierze francuzcy znękani głodem, zlodowaciali od mrozów wlokąc się jak mary, rzucali broń, bo jej w skostniałych rękach utrzymać nie mogli. O tej rejteradzie (nie pochlebając sobie) można wyrzec prawdę, że polskie wojska najwięcej obroniły armią francuzką od zupełnego zniszczenia.

Dzień czy dwa dni przed zbliżeniem się naszym do Berezyny, dywizya z korpusu naszego najliczniejsza, bo dotychczas najmniej ucierpiała, pod dowództwem jenerała Partounot postawiona na pozycyi, w nocy napadnięta przez nieprzyjaciela całkiem zabrana została. Jak mówiono nie broniąc się broń

złożyła. Strata tej dywizyi zmniejszyła korpus 9-ty do dwónastu przeszło tysięcy, rachując w to piechotę i kawaleryą, bo kawalerya z tą dywizyą po większej części znajdowała się.

Stanąwszy nad Berezyną pod wsią Stary Borysów zwaną (Studzianka) zastaliśmy tam dwa mosty z rozebranych domów na prędcie postawione a przed mostem niezliczony tłum ludu zgnębniałego w największym nieładzie z tysiącami powózków i karet rozmaitego gatunku. Na powózkach i w karetkach wypakowanych rozmaitym grabieżą, znajdowało się wiele rannych i chorych z przeziębienia i głodu. O dziwna namiętności człowieka. Ten zgnębniały lud, który za godzinę powinien się być spodziewać paść ofiarą śmierci, której szeroko założona kosa przy pomocy mrozu i głodu liczne już powaliła pokosy trupów, ten mówię lud ostatnią siłą zdawał się trzymać zagrabionych łupów, które z życiem co chwila miał utracić. Ta liczna czereda z rozprzężonej armii złożona, mimo usilności żandarmów zalegała przedmostowe place, cisnąc się na most w najgęstszej ciżbie. Nie zważając na życie swych zgnębniałych braci, traktując jeden drugiego, piesi własnymi nogami, a co na koniach byli, końskimi kopytami, co w powozach siedzieli kołami, nie zważając na okropny krzyk umierających, zasłali trupami

Prüfung
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig

wnijscie przedmostowe i po nich wdzierali się na most. Przerazający to był widok dla czulego serca.

Nasz korpus zmniejszony (jak wspomniałem wyżej) dywizyą Partenota, odebrał rozkaz przeprowić się przez most. Lecz gdy zaczął przeprowę, rozkazano nam znowu wrócić się i zająć pozycyą przedmostową. Gdy dywizya polska zajęła przeznaczone miejsce około godziny może ósmej z rana, polecono jej, aby się posiliła. Żołnierze znaleźli jeszcze cokolwiek oszczędzonego mięsa i zaczęli je przy broni złożonej w kozły gotować. Lecz jeszcze się w potowie nie ugotowało, gdy zawołano: do broni! Sam marszałek przybiegł do naszego obozu na koniu wołając: *Braves Polonais en avant!* Polacy naprzód. Żywo wzięliśmy broń i ruszyliśmy ku nieprzyjacielowi, który ścigał pierzchającą dywizyą Bawarów i Francuzów. Udało nam się odeprzeć nieprzyjaciela i zapędzić go aż pod same zarośle, z których wyruszył. Przed temi zaroślami stanęliśmy na pozycyi w kolumnach do ataku w masie i zaczęła się mocna kanonada z stron obydwóch. Nieprzyjaciel już nie opuszczał zasłaniających go zarośli i my nie staraliśmy się z nich go wyparować. Nasi tylko strzelcy piesi z kompanii wysłani razili nieprzyjacielskie szeregi, podsuwając się pod ich kolumny, a artylerya z swęj pozycyi trzymała Rosyan w oddaleniu. Bawarczycy tymczasem zebrali się do

porządku i stali w rezerwie. Brygada saska walczyła obok nas mężnie. Gdy się ciemna noc zbliżyła, umilkły działa, ogień karabinowy strzelecki ucichł i walka ustała. Dzień tej walki nieznośny był dla nas, a podobno i dla wrogów naszych, nie tak dla żywej kanonady jak dla nieznośnego zimna. W ów dzień pamiętny, mróz tęgi a z nim połączony wichur okropny, od mrozu mroźniejszy, wskroś przesywający ciało, wnętrzości i kości, zdawały się jakby na przekorę wywierać swą wściekłość na pasujące się narody, aby te upamiętawszy się, poprzestały wzajemnego krwi rozlewu.

Najnieznośniejszy był wieczór z nocą, wtenczas bowiem nieczynni stojąc pod bronią, wystawieni byliśmy na całą srogość wichru i mrozu. Najlepiej ubrany drżał jak liść osiny. Żołnierz tem bardziej skostniały, że głodny, stać jednak musiał pod bronią, bo szło o jego życie i honor, a my oficerowie oblegaliśmy go w koło, aby się nie wymykał z kolumn. Więcej nam niżli nieprzyjacielowi musiał dokuczać ten wichur połączony z mrozem, nasze kolumny bowiem stały na otwartem polu, a nieprzyjaciel schronił się do lasu. Było to zimno nie do opisania. Ten jeden tylko sobie wyobrazić zdoła, kto tej nocy stał przy broni. Zimno zdawało się, że na moment zbliżało do pokoju ludzi, bo ani Rosyane nas, ani my ich nie zaczepiali bynajmniej,

choć przednie stráže z obu stron były zbliżone ku sobie o kilkadziesiąt kroków.

Tu oddaliwszy samochwalstwo na stronę, mogę śmiało powiedzieć prawdę, że gdy Rosyanie złamanych Francuzów i Bawarów zmusili do ucieczki, gdyby mówię dywizya polska swoją śmiałością i odwagą przy pomocy brygady saskiej nie była przymusiła nieprzyjaciela do odwrotu, wszystko by było wpadło w ręce nieprzyjacielskie, co się jeszcze nie przeprawiło przez rzekę. Dywizyi to polskiej przypisać należy tę korzyść, że skołatana armia mogła się spokojnie przeprawiać ten dzień cały i w nocy do godziny trzeciej. Tak jest, była może godzina trzecia po północy, gdy odebraliśmy rozkaz cofnięcia się za most. Jak najciszej zebraliśmy nasze przednie stráže i przechodziliśmy most z ostrożnością w takim przypadku potrzebną. Już byliśmy na moście gdy nieprzyjaciel zmiarkował, że opuściliśmy naszą pozycyą. Wysypał za nami w pogoń granaty i kule armatnie, ale dzięki ciemnej nocy i ostrożnemu postępowaniu nieprzyjaciele nie wiele nam szkody zrządziły. Przeprawiwszy, uszykowaliśmy się do boju, a kompanie grenadyerskie wraz z kompaniami saperów francuzkich zapalili most.

Tysiące skołatanej armii przez mróz i zimno zostało za mostem. To wszystko dostało się w niewolę rosyjską.

Przez niemały czas byliśmy spokojni aż nako-
niec (nie pamiętam nazwiska miejsca) ujrzeliśmy
nieprzyjaciela żwawo na nas nacierającego, odwró-
ciliśmy się do boju i śmiały daliśmy mu odpór.
Bijąc się, cofaliśmy się w porządku aż ku znacznemu
lasowi, przez który prosto i szeroko wycięta droga,
jakby alea prowadziła.

Przed samem wnijsciem do boru mocno nas
raziły kartacze nieprzyjacielskie, lecz gdyśmy stanęli
w lesie już nam nie tyle szkodziły. Dano nam roz-
kaz mocno trzymać się boru. Kompanie gren-
adyerskie w kolumnie zasłaniając dwie czy trzy
armaty polowe, postępowały środkiem drogi, rażąc
z tych armat nieprzyjaciela. Kompanie fizylierskie
cokolwiek w tyle zostające, napastowały z zarośli
wrogów, niekiedy wpadając na drogę dla jej zata-
rasowania pozostałymi wozami i dla stawienia śmia-
łego czoła ścigającym.

W tym boru poległ porucznik Młocki, mło-
dzieniec odważny i luby. Kartacz wyrwał mu jedno
oko i dolną szczękę. Nieszczęśliwy kilka minut
pasując się z śmiercią, oddał Bogu ducha. Ja by-
łem lekko ranny w lewą rękę. Gdyśmy się ucie-
rali w boru, jenerał komenderujący tą tylną strażą,
cofnawszy się z innymi za bór, wprost téj drogi
czyli alei kazał rozłożyć obóz i gdy się zmierzchało
wielkie rozłożyć ognie, a nam walczącym kazał się

udać w lewo do boru i mały opór dając spieszenie się cofać. Na końcu tej puszczy kazał ustawić baterią z kilkunastu armat, od których konie już wyzdychały. Ciemno już było. Nieprzyjaciel widząc drogę wolną, wysłał najprzód artylerią, która rzęsiście kule do fałszywego obozu puszczała, prawdziwy obóz stał z boku. Marodery, co się przy tych ogniach grzali, w nieładzie uciekając, czynili wrzask okropny. Nieprzyjaciel musiał rozumieć, że całe wojsko pierzcha. Wyspały się jego kolumny z boru i uderzyły żwawo na obóz. Artyleria z zapalonymi lontami stojąc przy armatach wyżej opisanych, czekała ich spokojnie, dopiero gdy już dosyć nieprzyjaciół miała na celu, mocno sypnęła kartaczami. Pierwsze zaraz wystrzały niezmierną uczyniły szkodę w szeregach nieprzyjacielskich. W największym nieładzie uciekali do lasu. Na ich ślad naprowadzono armaty i żwawo ścigano ich kulami. W tej przeprawie przez bór lubo i my utraciliśmy dosyć ludzi osobliwie w ranionych, nieprzyjaciel jednak daleko więcej stracić musiał, bo nam przez półtora dnia spokojnie cofać się pozwolił.

Gdyśmy się zbliżyli pod Mołodeczna koło południa*), nasza dywizya polska rozstawiona była na pozycjach przed miastem, które z tej strony

*) 4-go grudnia 1812 r.

zasłaniają błota, mając dosyć oparzelisk, które mimo mrozów jeszcze nie zamarzyły dobrze. Nasz pułk 9-ty postawiono przy starożytnych okopach, w środku których stał dom murowany. Rozstawiwszy placówki nasze po przed okopami między olszyną po błotach odpoczywaliśmy.

Jak mówiono i Napoleon w tem miasteczku spoczywał, gdzie przenocowawszy miał opuścić armią i udać się do Francji.

Krótko trwał wypoczynek nasz, bo nieprzyjacielskie kolumny w znacznej sile pokazały się przed błotami i zaraz z nami rozpoczęli walkę. Usiłował nieprzyjaciel koniecznie nas wyparować z miasta. Przypuścił mocny atak na nasze okopy i na groblą której bronił pułk 4-ty. Rosyanie przesunawszy się mimo placówek między olszyną ku naszemu okopom w dwóch kolumnach już się wdzierali na wały, lecz ich wyparowaliśmy szczęśliwie. Toż samo uczynił i pułk 4-ty na grobli. To ucieranie się z obu stron trwało do późnej nocy, która była bardzo ciemna. Gdy ustał ogień musieliśmy jeszcze pracować około wystawienia mosteczka na oparzelisku, które się znajdowało między miasteczkiem a nami. Tamtędy tylko mogliśmy się cofnąć do miasta, a przynajmniej w nocy nieświadomym miejsca tak się zdawało, bo mosty które były na grobli już były spalone. Około godziny 3-iej po północy

ściągnąwszy placówki, w cichości przeszliśmy szczęśliwie przez ten most czyli pokład naprędce sklejony. I tu niemało ucierpiała dywizya nasza. Nasz pułk 9-ty miał kilku oficerów rannych i kilkadziesiąt żołnierzy. Dla ustawicznych walk w cofaniu się tak się zmniejszyły nasze szeregi, że dwie czyli trzy mile od Wilna już nasza dywizya polska nie była w stanie walczyć dłużej z nieprzyjacielem w cofaniu, dla tego zastąpieni zostaliśmy przez świeże wojska, których małe oddziały przybywały. Tu już nas przestał nieprzyjaciel napastować ale głód, mrozy i zimno niemniej nam doskwierały. W tem tylko nam lżej było, że nie mając tak blisko nieprzyjaciela na karku, więcej mieliśmy czasu dla wyszukania żywności³⁷).

Nim dalsze przygody nasze opowiadać zacznę, wspomnę niektóre myśli, które mi się godnymi uwagi ludzkiej zdają, a które powinny były być wspomniane wyżej.

W okolicy Czasnik, gdzieśmy różne marsze robili musi być lud bardzo uciemniony, gdy bowiem wieśniacy dowiedzieli się, że opuszczać będziemy ich okolice, gromadami przychodzili do nas i chcieli pójść z nami jak mówili do Polski, mówiąc że tam chłop jest wolniejszy i nie tak uciskany, to zapewne słyszeli od naszych żołnierzy; mocne dopiero przełożenia nasze i obietnice że napowrót przyjdziemy,

wstrzymały ich od przedsięwziętego zbiegostwa. W samej rzeczy lud tamten drży z bojaźni na widok pana, pada przed nim nietylko na kolana ale i na twarz, jakby przed bóstwem jakim. Do czego ta niewola i ucisk doprowadzi ludzi!.....

Zaczawszy od Berezyny, okropny się jeszcze żyjącym przedstawiał widok, osobliwie my ostatnią tylną straż trzymający, nasyciliśmy ich oczy do sytości z największą zgrozą. Cała droga i obie jej strony zasłane trupami niepoległymi w boju, ale zmarzłymi od mrozów lub przez głód zniszczonemi. Armaty i wozy prochowe gruchotały te ludzkie zlodowaciałe ciała, konie przyzwyczajone już bez wzdrygnięcia jakby po rozrzuconych faszynach przechodziły przez nie.

Jak oko dojrzeć mogło, wlokła się to wprost to na prawo i lewo drogi, na pół zkostniała, ta niegdyś pyszna armia, teraz po większej części bez broni (bo ją porzuciała), w różne łachmany i koczuchy owinięta. Łzy, które z nieznośnej nędzy z oczu nieszczęśliwych płynęły, już nie toczyły się po policzkach spokojnie, ale zlodowaciałe formowały świeczki zaczepione na powiekach. Nie było tam widać przyjemnej i czerstwej twarzy lub prostej postawy ludzkiej, ale same wywędłe, zakopczone policzki i skurczone figury.

Mieliśmy rozkaz popędzać te wlokące się mary aby nie wpadły w ręce nieprzyjaciół, lecz trudno było dopełnić tego rozkazu. Często bowiem nekani do przedszego marszu padali i już skostniali podnieść się nie mogli. Tak ginącym bliźnim naszym trudno było dać jaki ratunek, bo nie było ani krzepiącego lub ciepłego zasiłku, ani woza, by ich odesłać do spokojnego lub ogrzanego domu, bo i domów podobnych w bliskości nie było. Lecz i wozy i krzepiące krople nie były pomocą w tym przemrożonym powietrzu, jak z następującego można widzieć przypadku. Tuż przy ariergardzie szła dobrze przykryta bryczka. W niej siedział podobno doktor francuzki z żoną. Zdało się że oboje byli ciepło ubrani. Mróz był nieznośny. Nagle wstrzymała się bryka, mąż woła ratunku że mu żona kostnieje, cucił ją jakimiś kroplami. Radziłem mu aby ją wysadził i prowadził aby się rozruchawszy zagrzała, zrobił to ów przywiązany mąż, lecz już zapóźno było, bo kilkanaście kroków zrobiwszy iść dalej nie mogła, wsadził ją napowrót do bryki, lecz po złożeniu jęj na siedzeniu natychmiast zlodowaciała. Nie mogąc tym nieszczęśliwym dać ratunku, zostawiliśmy ich w tyle. Niewiem co się dalej stało. Musiał i nieprzyjaciel zlitować się nad małżonkami temi. Mróz i głód najwięcej podobno wyniszczył Francuzów (lubo i innym nie folgował) i Włochów. Pier-

wszych jako najliczniejszych, drugich jako przyzwyczajonych do ciepłego klimatu. Osobliwie między Francuzami następujące narzekania były powszechne: O mon Dieu! mon Dieu! est-il possible d'être malheureux! comme-ça.

O mój Boże! mój Boże, czy podobno, aby człowiek był tak nieszczęśliwym!... W ogólności najwięcej ucierpieli słabowici i delikatnie wychowani, co się opuszczali nie dbając o posilenie i ci, co dopadłszy ognia, nagle się rozgrzewali, jako i ci, co znużywszy się, nagle przechodzili od ruchu do spoczynku. Najczęściej przepędzaliśmy noc pod otwartym niebem na śniegu przy ognisku roznieconych i rozebranych budynków. Rzadko komu zdarzyło się dostać trochę barłogu, aby sobie podścielisko mógł zrobić; kiedyśmy nocowali w stodołach lub jakich chlewach, to już była wygoda. Chociaż traślały się wieśniacze chaty, komuż się było ich dostać? Trzeba się było mocą o nie dobijać i zdobywszy mało się niemi cieszyć, bo wyparowani albo co się do nich docisnąć nie mogli, podpalali je i wspólnie potem grzali się przy takich gorzeliskach. Mniej ucierpieli, którzy się trzymali swoich chorągwi i ci zbiegowie, co z bronią wykradali się na bok i rabowali co mogli dostać. Tacy rabusie dostarczali żywności bijącym się, bośmy mieli rozkaz zabierać im żywność. Mieli z nich wygodę i marodery

bez broni, bo drogo od nich kupowali żywność jakąkolwiek bądź, np. za kawałek chleba lub placuszek upieczony w popiele od 3 do 5 franków. Najczęściej żywiliśmy się końskim mięsem i ziarnem pszenicznym lub żytniem rozgotowanym, albo zupą z otrąb lub temu podobnymi rzeczami co kto mógł dostać. Końska wątroba usmarzona na tłuszczu, uchodziła za specyał.

Gdyśmy po drodze napotykali jaki zasób w magazynie (co podobno dwa razy się trafiło od Berezyny aż do Wilna), takie zasoby dzielili między żołnierzy, w czem mieli pierwszeństwo zostający przy chorągwiach.

Między maroderami bez broni, największy był nieład i niekarność. Jakiegobądź stopnia oficer choćby generał gdy był bez wojska nic u nich nie znaczył. Już nie mówię o żywności, ale nawet miejsce przy ognisku drogo musieli opłacać wspomnieni dopiero oficerowie bez wojska. Z pomiędzy ciężko zliczyć się mogących przypadków przytoczę jeden.

Doktór pułkowy starszy Grigowicz, gdy to piszę, żyjący człowiek co w swych obowiązkach gorliwy i świątły, kiedy pułk jego czwarty, zlużowany z ariergardy bardzo mało już liczył pod bronią, zabłąkał się między maroderami i kilka dni

swoich nie mógł znaleźć, wiele cudzych i swoich opowiadał mi przygód, z tych jedną tylko przytoczę. Raz zziębły i głodny gdy szukał noclego czyli schronienia pomiędzy wznieconemi ogniskami, wszędzie odpychany nie mógł się docisnąć do ognia. Przy jednym ognisku zagadał był błagającym głosem do grenadyera francuzkiego, aby był łaskaw zrobić mu miejsce przy ogniu, aby się skostniały mógł ogrzać i upiec mały kawałek mięsa, który przed chwilą drogo opłacił. To niepodobno, odpowiedział po francuzku grenadyer, cośmy ten ogień rozpalili ledwo się sami ogrzać możemy. Patrz co nas tu jest? Gdy powtórzył swoje błaganie zlitował się nakoniec ale interesownie bo rzekł: *Donnez cinque francs et je vous ferai une place*, dał mu pięciofrankowego szkuda i za tę opłatę pozwolił mu za sobą w kuczki usieść i rozszerzywszy nogi przez ten otwór mógł się ogrzać i piec swoją pieczeń, a że miał kij przygotowany, włożył na niego swój kawałek mięsa i upiekł je. Na ostatku pozwoli mu przemonować z sobą.³⁸⁾

W tem miejscu wspomnę parę innych zdarzeń które są przyjemne ludzkości.

Oficer z 7-go pułku Malczewski mężczyzna słusznego wzrostu, w czasie tej nieszczęśliwej rejtetry tak z przeziębienia i głodu osłabł, że dalej żadnym sposobem iść nie mógł. Żołnierz z tego

pułku imieniem Mazurek, nieodstępujący go w tej słabości bierze opadłego z sił na swoje ramiona i zawlokł go dobre ćwierć mili w bok do spostrzeżonej wioski i tam go w chacie wiejskiej ogrzał i zasilił nie odstępując na krok, póki nie był w stanie iść o swoich siłach.

Podobne do wyższego zdarzenia miał Jakubowski, najprzód major pułku 9-go a potem pułkownik 7-go. To działo się jeszcze w legiach włoskich, gdy rzeczony pułkownik był kapitanem. Gdy Polacy byli przymuszeni cofać się przed liczniejszym nieprzyjacielem, przez kraj nienawistny sobie, ten oficer tak ciężko zachorował, że nie mógł żadnym sposobem maszerować dalej, wozu nie było na którymby za cofającymi mógł jechać dalej, nie chciał w tyle zostać, aby nie wpaść w ręce nieprzyjaciół, wyboczył było jeszcze niebezpieczniej, bo mieszkańcy tej okolicy byli zawzięci na żołnierzy francuzkich. Co miał czynić nie wiedział. Osłabionemu ciężko jest poradzić sobie, w tej niepewności żołnierz nazwiskiem Michniewicz, który go na krok nie odstąpił w jego słabości, porywa go na ramiona swoje, poszedł w bok i schronił się między skałami. Deszcz miał padać rzęśisty, i temu zaradził; potąd biegał między skałami, aż znalazł małe wydrążenie w opoce, tam usławszy z liścia i mchu posłanie, złożył na niem swojego chorego, w wieczór rozpalił

ogień i rozgrzewał go. Drugiego dnia temu oficerowi nie polepszyło się, bardziej jeszcze zdawał się być osłabionym. Trzeba było jeszcze ciepłego zasiłku! gdzie go dostać między skałami i w nieprzyjaznym kraju? Cóż robi ten poczciwy żołnierz? Oto rzuca mundur żołnierski, z płaszcza szyje wieśniaczy ubiór i ubiera się w niego. Ubrany, z największą ostrożnością, aby nie zbłądził robi po drzewach i skałach znaki, idzie szukać wsi, aby kupić żywności. To przedsięwzięcie udaje mu się. Znalazł więc i żywności nakupił, co mu się tem snadniej udało, bo umiał język włoski. Takim sposobem tydzień czy więcej utrzymywał swojego chorego. Nakoniec oficer zaczął przychodzić do siebie, nie śmiał jednak wyjść z swojego ukrycia. Wreszcie raz jednego przynosi Michniewicz pocieszającą nowinę, że Francuzi znowu przyszedli w tę okolice. Wtenczas dopiero wyszli z swojej kryjówki i połączyli się z pułkiem swoim. Wdzięczny Jakubowski już odtąd nie puścił od siebie tego poczciwego i wiernego Michniewicza, i ten go także opuścić nie chciał. Przybył z Włoch Jakubowski do Polski; przybył z nim i Michniewicz, był umieszczony jako major w pułku 9-tym, i Michniewicz z nim. Poszedł do Hiszpanii i wierny sługa z nim. Został pułkownikiem 7-go pułku, przenosi do tegoż wiernego towarzysza swego. Umiera nakoniec Jaku-

bowski pułkownik w Hiszpanii w Granadzie i zostawionym testamentem całego majątku, jaki miał, uczynił dziedzicem wiernego Michniewicza swego. Niedługo przeżył dobrego pana, zmartwiony śmiercią pańską w krótkim czasie umarł i na jednym spoczywają cmentarzu. Wieczny pokój dobremu panu i wiernemu słudze. Michniewicz zostawił żonę Włoszkę bez dzieci, ta odziedziczyła po nim. Jakubowski był bardzo uczciwy człowiek w całym znaczeniu tego wyrazu. Służbisty oficer, nie chciwy zysków, słowem sprawiedliwy pułkownik, duszą i sercem przywiązany do ojczyzny i jej języka Polak.³⁹⁾

Że i w niższym stanie są ludzie uczciwi i wdzięczni następny czyn dowodzi. W czasie cofania się naszego z Rosyi, kiedy głód zaczął mocno nam dokuczać. Ja co to piszę stanawszy na polu wraz z pułkiem przy jednym ognisku, który kompania, którą dowodziłem wznieciła, grzałem się głodny. Wtem mię ktoś z tyłu pociąga za płaszcz. Oglądam się i spostrzegam grenadyera z 2-go batalionu, który robił migi, aby pójść za nim. Już było ciemno. Poszedłem z nim, około 60 kroków od ogniska stanął. Pytam się jego czego potrzebuje? On nie mówiąc dobywa z pod płaszcza dosyć spory kawał szynki wieprzowej, dobrze uwędzonej, już ugotowanej i daje mi mówiąc: to się panu w tym

czasie przyda! Zdziwiony tą jego grzecznością rzekłem: Czemuż nie podzieliłeś się tą szynką z twojemi oficerami i oni zapewne głód cierpią? Wszyscy teraz cierpiemy, odpowiedział. Dla czegoż mnie nie komu innemu czynisz ten dar teraz drogi? Nie przypominam sobie, abym ci kiedy jakie dobrodziejstwo uczynił? Na to rzekł grenadyr: Uczyniłeś mi pan dobrodziejstwo i wielkie, które od półczwarta roku czy więcej ciąży mi na sercu, żem się panu nie odplacił, bo nie było sposobności, bo cóż prosty grenadyr dla oficera uczynić może? Przypomina sobie pan (rzekł dalej), kiedyśmy w Hiszpanii przed ową sławną bitwą Okuńską, z pod tej samej Okunii nocą rejterowali nie wiem dla czego, bośmy tam niezłe strzepali Hiszpanów. Pamiętasz pan, że ja byłem dobrze w nogę ranny i nie mogłem na żaden sposób maszerować. Mój kapitan nie miał mię na co zabrać, bo nie było ani woza ani buryka (burykiem nazywali nasi żołnierze osła) co pan spostrzegłszy dałeś mi swego konia, czego gdybyś pan był nie uczynił, byłiby mnie pewno zamordowali bryganty (brygantami nazywali żołnierze powstańców). Pamiętam ja to dobrze, że pan wolałeś pieszo iść, a żołnierza uratować. Ten postępek grenadyera wdzięcznego wzruszył mię. Chciałem się z nim napowrót tą szynką podzielić, ale nie chciał; pokazując mi tylko dobry kawał chleba ościałego, rzekł:

ten mnie zasilił parę dni, a tymczasem może nas Pan Bóg żywnością opatrzy. To rzekłszy poszedł spiesznie do kompanii swojej. Żałuję, że się nie zapytał o jego nazwisko, odtąd nie widziałem go więcej.

Kilku żołnierzy ordynansów, przy których oficerowie pozostawiali rzeczy i pieniądze, a ci zabłąkani między maroderami, nie mogli znaleźć swych panów, po kilkunastu dniach znaleźli się z dochowanymi wiernie rzeczami i pieniędzmi, ale byli i tacy, którzy powierzone sobie rzeczy zabrawszy zbiegli, albo powróciwszy potracili co im powierzono — udając, może i prawdę mówiąc: że ich okradziono.

Kiedyśmy już nie należeli do ariergardy czynnej, postępowaliśmy naprzód, zbierając zabłąkanych żołnierzy naszych, którzy w tym byli lepsi od Francuzów że broni nie rzucali. Lubośmy ich zebrali dosyć, mniejszej połowy jednak nasz pułk 9-ty nie mógł się dorachować, ale ci po większej części wyginęli, lub ranni do niewoli się dostali. Oficerów zabitych, rannych i do niewoli wziętych, pułk nasz stracił dwudziestu dwóch w tej nieszczęśliwej kampanii rosyjskiej. Moja rana, którą dostałem w lewą rękę w boru na owej prosto wyciętej drodze, lubo w początku zdawała się lekką — przez ciężkie mrozy i brak chirurga tak się pogorszyła, że groziła niebezpieczeństwem utraty ręki, dla tego gdyśmy już stanęli w Kownie, byłem przymuszony wziąć

urlop od podpułkownika Muchowskiego; (pułkownik bowiem będąc rannym pod Mołodeczną opuścił pułk), i udać się także najprzód przez Prusy do Torunia, a potem do Inowrocławia w Kujawach.

Lubo po drodze starałem się opatrywać rękę, rana jednak niepolepszyła się wiele. Musiałem się więc przeszło tydzień zabawić w ostatnim mieście. Burmistrz tamtejszy Jastrzembski, niegdyś mój kolega szkólny, przyjął mnie prawdziwie po przyjacielsku. Sprowadził miejscowego chirurga, który troskliwie lecząc moją ranę, do znacznego przyprowadził ją polepszenia. U tego szanownego urzędnika i prawego Polaka miałem wygody jak w domu.

Jak mi mówiono, że i innym wojskowym polskim tamtędy powracającym jakie mógł czynił wygody. Za co jak mi powiadano, później oskarżony od żydów czyli niemców, źle był traktowany od Rosyan. Tak to cnota od złośliwych ludzi często prześladowaną bywa, która nietylko od przyjaciół, ale i od nieprzyjaciół światłych cenioną być powinna.

Oświato pożądana na ziemi! kiedyż przez te ciemne chmury, które cię dotąd otaczają, przebijesz tyle tych świętych promieni, że ludzie niemi oświeceni poznają, że są braćmi, którzy się nieszkodząc jeden drugiemu kochać powinni.

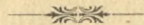
Będąc już w nie złym stanie zdrowia, z Inowrocławia zboczyłem do Powidza, odwiedzić kochaną

matkę z rodzeństwem, którzy w tem miasteczku i okolicy jego prawie wszyscy mieszkali. Jak rozczulający był widok powitania naszego po sześcioletniem niewidzeniu się, wyratowanego z tyłu prawie ustawicznych niebezpieczeństw wojennych, matka syna, siostry i bracia, brata witali. Rozczuliliśmy się wzajemnie i płakaliśmy wszyscy. Podobne było i pożegnanie nasze, bo po pięciodniowym przyjemnym na łonie rodzinnem spoczynku, pospieszyłem do Poznania połączyć się z pułkiem, który się w tem mieście zbierał i jako nabierający sił nowych wnijsć znowu pomiędzy szeregi i walczyć z nieprzyjacielem który nas ścigać nie przestawał. 4-go i 7-go pułku szczątki także zebrały się w tem mieście. Tam dywizyi naszej przystawiono 600 rekrutów, których tam niemogliśmy ani umundurować, ani wymustrować, uzbroić nawet, bo nieprzyjaciel ustawicznie trapiąc nas, nie dał do tego czasu.

Oficerowie zdrowi i żołnierze nieodstępni od swoich chorągwi, jako i ci co się zabłąkawszy powrócili do swoich szeregów, podzieleni na oddziały, wzięci byli na linię aby wstrzymywać nieprzyjacielskie marsze. Oficerowie słabsi i żołnierze jeszcze nie zdadni do frontu najprzód w Poznaniu, potem w okolicy zachodniej tego miasta rozlokowani nabierali sił, aby jak najprędzej wystąpić do boju.



Wojna w Niemczech 1813 r.



Na początku lutego 1813 roku, szczytki trzech pułków 4-go, 7-go i 9-go dostały rozkaz, aby zabrawszy przystawionych rekrutów udały się na garnizon do fortecy Szpandawy na zachód Berlina leżącej.⁴⁰⁾

Niepewni losu wojny z tem większą niespokojnością i żalem opuszczaliśmy kochaną ojczyznę naszą, dla której dźwignienia wzięliśmy się do broni. Przechodząc prowincye pruskie musieliśmy patrzeć z cierpliwością na szyderskie twarze mieszkańców tej nieprzyjaznej nam krainy, których jeszcze dawne szczęście i potęga Francuzów, ale nie ówczesna siła od otwartego wstrzymywały powstania; dla tego z podwójną ostrożnością postępowaliśmy przez kraj alliantów, którzy z największą niecierpliwością oczekiwali Rosyan, aby się z nimi przeciwko nam po-

łączyć. Jeszcześmy nie przeszli Wisły, a już głośno mówiono, że pruski generał York, dowodzący posiłkowem wojskiem przeciw Rosyi, połączył się zdradziecko z nieprzyjacielem i bił Francuzów, dla tego nasza ostrożność była tem potrzebniejszą.

Przybywszy do Szpandawy zastaliśmy tam garnizon francuzki około osiemset ludzi wynoszący. Gubernator téj fortecy cieszył się z tego posiłku, bo się spodziewał prędkiego oblężenia. Zaraz zajęliśmy się nauką naszych rekrutów. Dzień w dzień mustrowaliśmy ich pilnie, aby ich zdawnymi uczynić do służby. W kilka dni już zaciągali na wartę, ale w swym wieśniaczym stroju, bo nie było ich w co ubrać, nie było tam składu żadnych ubiorów. Niezadługo wprawdzie (nie wiem z kąd) dostał gubernator pare set łokci sukna żółtego, ale tylko na spodnie użyte być mogło, jako nie mundurowego koloru.

Ledwo Francuzi opuścili Berlin, natychmiast wojska pruskie połączyły się z nieprzyjacielem.⁴¹⁾

Niezadługo więc nastąpiło oblężenie naszej fortecy przez Prusaków.⁴²⁾

Z początku zapewne dla braku wojska i dział tylko z jednej strony szturmowano nas i to dosyć zwolna, ale w krótkim czasie zebrały się liczne wojska i ścisnęły nas w koło. Przybyły moździerze

i artylerya ciężka i odtąd prawie nieustannie częstowano nas kulami ciężkiego kalibru, bombami i granatami. Dla szczupłego garnizonu naszego, który najwięcej dwa tysiące ludzi pod bronią wynosił, a który się codzień zmniejszał przez chorobę, która się między Francuzów wkradła,⁴³⁾ i przez szczupłość garnizonu, nie byliśmy w stanie czynić wycieczek, musieliśmy zatem ograniczyć się bronieniem z wałów, a choćbyśmy się byli odważyli na wycieczkę śmiała, ta byłaby nam może prędzej zaszkodziła, jak pomogła, osłabiona bowiem obrona miasta wycieczką, możeby była ośmieliła mieszkańców do buntu, ile jak słychać było, byli do tego pobudzani przez oblegających.

My także Polacy mieliśmy zmniejszone siły przez wysłanie oddziału do Wittenberga, fortecy saskiej nad Elbą.

W początkach oblężenia, zapewne dla ochronienia mieszkańców, samą tylko cytadelę szturmowano, a niekiedy i baterye najbliższe tejże. Ten szturm codzień był żywszy i bomby liczniejsze, na koniec udało im się zapalić pracownię z prochami, która wysadzona w powietrze zrobiła wielki wyłom i zasypała kanału kawał, który też cytadelę otacza. Po tym wypadku wezwali garnizon do poddania się, ale przeciwną odebrali odpowiedź. Aby gubernatora

de obrony zachęcić, oficerowie polscy, których tam było blisko 200 bez wojska, wzięli broń i przyrzekli obok żołnierzy wależyć. Po tej odpowiedzi nieprzyjaciel do słabszych miejsc przypuścił szturm, ale ze stratą odpartym został.

Wyrwany wyłom baterią z worków napełnionych, ziemią cokolwiek zmocniony został i główna prochownia jeszcze w czasie pożaru wypróżniona z prochów, które do kazamat wałowych przeniesione zostały, do tej roboty powiększej części żołnierze polscy byli użyci. Oficerowie nietylko ich zachęcali, ale i czynny przykład dawali. Ostrożność ta była potrzebną, bo gdyby się był ogień dostał do głównej prochowni, nietylko garnizon, ale może i całe miasto byłoby wyleciało w powietrze. Przez samo bowiem wysadzenie pracowni nietylko dosyć ludzi zginęło, ale i najbliższe domy znacznie się porujnowały. Przy tym przypadku dwa orły polskie 9-go pułku zostały w gruzach, co dla tego wspominam, aby się kiedy Brandeburczyk nie chepił, że je zdobył w boju.

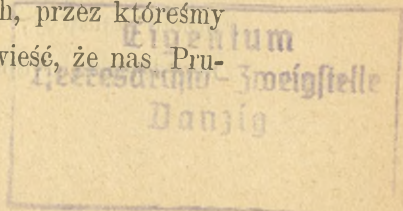
Rozgniewany nieprzyjaciel naszą stałością w bronienu się, nie zważając na mieszkańców własnego miasta, zaczął jednego wieczora rzęsiście puszczać bomby i kule ogniste. Wpuściwszy tych niszczy-cielek piekielnych może więcej dwóchset, wzniecił pożar w mieście. My staliśmy w pogotowiu do

boju po wszystkich wałach i znaczny oddział pod bronią na placu. Gdy rozszerzający się coraz bardziej ogień oświecił całą fortecę, przypuścił nieprzyjaciel ze wszystkich stron bardzo żwawy atak. Śmielsi już w wielu miejscach wdzierali się na wały, ale na wszystkich punktach przywitani ręcznym ogniem i bagnetami, musieli się ze stratą cofnąć i zaniechać swego zamysłu.⁴⁴⁾

Widząc, że im się szturmy nie udają, rozpoczęli negocjacje, grożąc przytem, że chociaż ich to najwięcej kosztować będzie, muszą jednak wziąć miasto.

Długo się gubernator za radą wojenną opierał w oddaniu fortecy, uległ nakoniec potrzebie. Choroba osobliwie francuzkie przerzedzała szeregi, narzęście żywności zaczęło brakować, w końcu zatem podobno kwietnia 1813 r. oddaliśmy przez kapitulację tę fortecę Prusakom.⁴⁵⁾

Z bronią, bagażami i 2 armatami opuściliśmy bramy tego miasta. Konwój kawaleryi rosyjskiej asystował nam aż do przednich straży francuzkich. Po drodze spotykaliśmy dosyć mocne oddziały powstańców, czyli tak nazywane landsturmy pruskie w rozmaite broń uzbrojone, a których podobno umyślnie porozstawiano po miejscach, przez któreśmy przechodzili. Rozeszła się bowiem wieść, że nas Pru-



sacy chcą wyrznąć i mieli prosić komendanta rosyjskiego konwoju o pomoc. Ten miał odpowiedzieć że nie tylko żadnej pomocy nieda, ale się jeszcze z nami połączy, gdyby się na ten zradziecki czyn odważyć mieli.⁴⁶⁾

Po złączeniu się z armią francuską przeznaczono nam fortecę Erfurt na garnizon. Tam stojąc dni kilkanaście ćwiczyliśmy naszych rekrutów w służbie i mustrze. Z Erfurtu posłano nas do Wittenberg, fortecy w Saksonii nad Elbą.

W tem mieście do pułku 9-go, który był najliczniejszym, wcielono szczątki 4-go i 7-go pułków, z którymi składaliśmy jedną dywizję w kampanii rosyjskiej i ten pułk nowo uorganizowany odtąd nazywał się pułkiem 4-tym piechoty polskiej.⁴⁷⁾

Oficerowie którzy nie mogli być pomieszczeni w tym nowym pułku, zostali rozdzieleni przez organizatora z rozkazu Napoleona po pułkach francuskich⁴⁸⁾.

Po ostatniej bitwie pod Lützen zawarto zawieszenie broni. W tych dwóch potyczkach zwycięzcami byli Francuzi, a ponieważ te zwycięzkie korzyści otrzymane były z małą liczbą kawaleryi, bo ją Francuzi całkiem utracili w mroźnej kampanii rosyjskiej, przeto znawcy, Niemcy nawet, nazywali tę bitwę arcydziełem Napoleona.

Wkrótce po organizacyi naszej przybył Napoleon do Wittenberga i z wojskami w tej okolicy zostającymi odprawił rewia, do której i nasz pułk teraz 4-ty należał. Na tej rewii jak zwyczajnie był bardzo przystępnym dla swoich wojowników. Ta jednak przystępność tak była połączona z monarchiczną powagą, że nie tylko uszanowanie, ale i miłość ku temu bohaterowi powiększała.

Po odbytej rewii odebraliśmy wkrótce rozkaz udania się do fortecy Magdeburga nad Elbą. Tam robiliśmy służbę przez miesiąc. W same imieniny Napoleona, 15-go sierpnia, z rana stósownie do rozkazu udaliśmy się na linią przeciw nieprzyjacielowi, bo zawieszenie broni już zerwanem zostało.⁴⁹⁾

Odtąd przeszliśmy pod komendę generała Dąbrowskiego i należeliśmy do jego dywizyi, która się składała z naszego pułku 4-go piechoty polskiej, pułku Nadwiślańskiego i jednego pułku X. Warszawskiego, którego nie pamiętam numeru.⁵⁰⁾

Na tej linii prócz małych podjazdów nie zaszło nic ważnego.

Wkrótce udaliśmy się do Torgan, warowni saskiej, ztamtąd podobno dnia drugiego wyszedłszy połączyliśmy się z armią francuzką, do której niezadługo przybył sam Napoleon.

Po różnych manewrach wojennych, oddzielono dywizyą polską i dywizyą francuzką i posłano nas

na odsiecz fortecy Wittenberg, którą nieprzyjaciel znowu szturmował.⁵¹⁾

Pod tą fortecą stanęliśmy pod wieczór.⁵²⁾ Gdy się zmierzchno przeszedł nasz pułk z kilku kompaniami Francuzów na prawy brzeg Elby i oszańcowanych pod fortecą Prusaków bagnetem wyparował, którzy się cofnęli do obozu swego z pół mili w tyle stojącego. W tej aferze zabraliśmy nieprzyjacielowi kilkadziesiąt jeńców.⁵³⁾

Za nami przysłała armia z dwóch dywizyi piechoty składająca się i z dwóch podobno szwadronów kawaleryi. Ścigany przez nas korpus nieprzyjacielski, cofał się w dobrym porządku ponad Elbą i podobno trzy mile na północ od Wittenberga przeprawił się przez most na lewą stronę rzeki. Most za sobą natychmiast zniósł.⁵⁴⁾ Jenerał francuzki Sebastyani naczelnie tym dwudywizyjnym korpusem dowodzący, rozkazał most zepsuty naprawić, ale w nocy odebraliśmy rozkaz udania się pod Lipsk.

W tym odwrotnym marszu przeszedłszy Elbę pod Wittenbergiem, stanęliśmy nazajutrz na przeznaczonym miejscu, może pół mili przed Lipskiem od strony wschodniej. Działo się to 16-go października 1813 roku. Dla tego tu wspominam ten dzień pamiętny, bo w nim rozpoczęła się bitwa dotąd zwana Lipską, która prawie do szczętu wydarła

Napoleonowi wodze, za pomocą których kierował ledwo nie wszystkimi władzcami Europy. Gdyśmy się ku Lipskowi zbliżali, oddaleni od tego miasta może jeszcze półtrzeciej mili, a już słyszeliśmy mocną kanonadę, która się co chwila zwiększała w miarę przybliżenia się naszego. Słowem tak rześisto z obu stron walczących huczały- tu działa, że oddalonemu od tej walki zdawaćby się mogło, że to jest ogień karabinowy rotowy znacznych dwóch oddziałów uciekającej się piechoty, gdyby go huk od piorunowego mocniejszy nie przestrzegał, że to działowy ogień. W samej rzeczy w tej bitwie, jak mówiono, do dwóch tysięcy armat z obu stron grzmiało.

Tym hukiem ostrzeżeni, że walna bitwa już rozpoczęta, uszykowaliśmy się do boju i w tym porządku postępowaliśmy aż do miejsca dla nas przeznaczonego, jak już nadmieniałem wyżej.

Jeszcze nasze kolumny nie zbliżyły się do nieprzyjaciela na wystrzał armatni, gdy przybiegł do nas adjutant od Napoleona zapewne z instrukcją do dowodzącego, który zarazem dla dywizji polskiej przywiózł kilkanaście nominacyi na krzyże Legii honorowej i tę wiadomość, że książę Józef Poniatowski został mianowany marszałkiem francuzkiego cesarstwa. Nasze kolumny przybyłe zasłaniała wieś, na wschód blisko Lipska leżąca.

Co tylko żołnierze nasi wzięli broń do nogi, już dla spoczęcia w miejscu, już to dla słuchania rozkazów, gdy nieprzyjaciel między północą i zachodem za wsią tuż stojący, od nas liczniejszy posunął się ku nam pod zasłoną licznój artyleryi. Uderzyliśmy wzajemnie na niego, także wspierani od bateryi naszej. Bitwa nader żwawa trwała aż do ciemnej nocy bezkorzystna dla jednej i drugiej strony. Tak nieprzyjaciel jako i my zostaliśmy na swoich stanowiskach. Zaraz w tym pierwszym dniu walki nasz pułk ucierpiał wiele. (Ta bowiem bitwa naokoło Lipska trwała przez trzy dni ciągle).

Pułkownik nasz Cichocki był ciężko ranny, kilku oficerów i przeszło sto żołnierzy prócz poległych na placu.

Mówię tu tylko o naszym pułku. Oficer niższy w tak wielkiej bitwie na czele jednej kompanii, ma mały widnokrąg do uważania walki, to tylko mogę powiedzieć, że linia tej bitwy była bardzo rozciąglą, a ogień dział podobny do rżęstego karabinowego, przekonywał mnie że się uporczywie na całej linii bito. Dzień drugi bitwy to jest 17-go października zdawał się jakby zbliżać do zgody obydwie walczące strony. Ogień bowiem działowy tylko w niektórych miejscach słyszeć się dawał. Słowem porównyując walkę 16-go października z walką

17-go, tedy ten dzień zdawał się przymuszać do spoczynku rzezią, zmordowane strony.

W dniu tym ku wieczorowi dywizya nasza polska, pod rozkazami jenerała Dąbrowskiego inne zajęła stanowisko. Kazano jój bronić jednego przedmieścia Lipska od strony północnej, które zdawało się najwięcej być zagrożonem. W tem nowem stanowisku, znowu wiele ucierpiał pułk nasz 4-ty, niedawno jak wspomniałem w Wittenbergu z trzech pułków uorganizowany. W dniu bowiem 18-tym października znowu najzwawszą wznowiono bitwę. Przez stanowisko obronie naszej powierzone koniecznie nieprzyjaciel wdzierał się do miasta i chociaż go to przedsięwzięcie wiele krwi w poległych i rannych kosztowało, nie ustawał jednak w swoim zamiarze. Ale nie utracili i tu Polacy imienia walecznych i nietylko że nie splamili w tym miejscu sławy narodowej, ale nowego można mówić dodali jój blasku.

Tą dzielną obroną przerzedziły się i szeregi nasze. Już mniej może jak sześćset ludzi liczył nasz pułk zdatnych do broni. Przekonany Napoleon raportami jenerała Dąbrowskiego o tej naszej stracie, przysłał na złuzowanie nas dywizją Francuzów. Uczynił to może dla tego, aby mu nie wyginęli wszyscy Polacy, wiedział bowiem że już mała była nas liczba. Gdy korpus Polaków dowo-

dzony przez księcia Józefa Poniatowskiego, przeszło ośm tysięcy mocny, w dniu zaraz 16-go października tyle ucierpiał gdy łamał przeciwnych sobie nieprzyjaciół że podobno dwa tysiące tylko liczył pod bronią. Ten sam korpus na przedmieściach Lipska, gdy w dniu 19-tym października z resztą sił swoich zasłaniał rejteradę ogólną Francuzów, ten mówię nieszczęśliwy korpus księcia Józefa przez zawczesne wysadzenie mostu na rzece koło Lipska płynącej, do szczytu zniszczony został, a mężny wódz jego w nurtach tejże rzeki znalazł śmierć chwalebna.

Miłość stała ku swój Ojczyźnie, wierność ku niej niewzruszona, słowa te „Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu samemu go oddam“ kuszącym go nieprzyjaciółom w odpowiedzi z stałością dane, uwiecznią pamięć tego naczelnego wodza Polaków. Po zluźwaniu nas, jak wspomniałem wyżej, z niebezpiecznego miejsca przeszedł nasz pułk przez rzekę Elster po tym samym moście, który przez inżynierą francuzką, nie przez księcia komenderowaną, został za prędko w powietrze wysadzony, a co było przyczyną, że pozostały korpus polski poszedł w niewolą wojenną, a wódz Polaków nie chcąc być jeńcem wojennym, rzucił się na koniu przez rzekę, co płynie nie szeroka wprawdzie ale głęboka i przykre brzegi mająca i w niej okryty ranami utonął, jak już rzekłem wyżej.

Niedługo staliśmy na pozycji nowo nam wyznaczonej, gdy 19-go października z rana cała armia francuzka cofać się zaczęła. Nasz pułk, który jeszcze miał do 500 ludzi pod bronią, był przyłączony do przybocznej cesarza Napoleona straży i z tą aż do Frankfurtu nad Menem w ogólnym odwrocie maszerowaliśmy razem.

Przed rozpoczęciem odwrotu zabrali Francuzi jeszcze do czternastu tysięcy niewolnika z korpusu austriackiego. O tej liczbie słyszałem tylko, a przy zabranii byłem przytomnym. Ci niewolnicy jednak w czasie odwrotu rozeszli się powiększej części dla braku mocnego konwoju.

Dziwiono się powszechnie, że sprzymierzeni mając prawie więcej jak w dwójnasób przewyższającą siłę, nie zniszczyli zupełnie armii francuzkiej, ile że już wszyscy alianci opuścili Napoleona stronę. Jeden król saski był wiernym do końca; dla czego przy zajęciu Lipska przez sprzymierzonych (w czasie bowiem bitwy lipskiej ten poczciwy monarcha tam się znajdował), już nie do swjej stolicy Drezna, ale do Wiednia kazano mu jechać. Dla tej to podobno wierności dla Napoleona, odebrano Sasom fortecę Wittenberg z prowincją do tejże przyległą i oddano Prusakom.

Mimo wierności monarchy saskiego nie wszyscy Sasi byli równie wiernymi, bo w czasie bitwy lip-

skiej dnia 18-go października, gdy Napoleon wysłał mały korpus Francuzów, do którego była przyłączona dywizya saska dla spędzenia nieprzyjaciela z pozycyi. Sasi połączyli się z nieprzyjacielem i na Francuzów obrócili swe działa. Zdrada takowa musiała wielkie zawikłanie sprawić w Napoleona planach. Tą dywizyą saską miał dowodzić niejaki generał Thiel.

Mówiono, że Napoleon jeszczeby nie był rozpoczął odwrotu, owszem byłby dłużej prowadził walkę pod Lipskiem, ale się obawiał, aby mu nie zabrakło amunicyi. Ładunków bowiem armatnich już miało być bardzo skapo.

Nadto sześćdziesiąt tysięcy Bawarczyków i innych sprzymierzonych nieprzyjaciół, przecięło mu odwrot pod Hanau nad Menem, który to korpus nieprzyjacielski trzeba było w rejteradzie pobić, aby się dostać do Francyi. Te szczególnie przyczyny miały skłonić do cofania się naówczas cesarza Francuzów. Po zerwaniu zawieszenia broni aż do bitwy lipskiej, takie i tym podobne miewaliśmy o czynnościach wielkiej armii doniesienia:

a) Że Napoleon pod Dreznem pobił znaczny korpus austryacki, że zabrał Austryakom dwadzieścia cztery tysiące niewolnika i znaczną liczbę armat.

b) Po tem zwycięztwie tak miał poprzecznać korpusy swojej armii: Jeden korpus pod dowództwem marszałka Ney'a posłał ku Berlinowi, inny do

Szlązka w kierunku Wrocławia. Trzeci najliczniejszy w kierunku do Czech. Każdemu z tych korpusów miał naznaczyć pewien punkt, w których mieli czekać dalszych rozkazów. Przy sobie miał zostawić resztę armii, aby nią rozrządził stósownie do planu przez siebie ułożonego, a którego żadnemu z marszałków nie powierzył, po zajęciu bowiem przez wyszczególnione korpusa punktów, miał dopiero sam swój plan spieszenie rozwinać. Niestety! nieprzewidziany i nieszczęsny przypadek zniweczył całe szyki Napoleona! Właśnie w tym momencie, gdy miał wyżej wzmiankowanym korpusom i pozostałej przy sobie armii dalsze rozkazy dawać i działać, — w tej mówię chwili napadła na Napoleona choroba trapiąca go bardzo rzadko i trzymała go bez zmysłów podobno więcej jak dwadzieścia cztery godzin. Czas do działania był najnaglejszy, a wódz najwyższy bez zmysłów. Dowódcy korpusów nie wiedzieli co dalej czynić. Na nieszczęście większe powietrze było dżdżyste i wilgotne, a ztąd ziemia i drogi błotniste. Szczególniej korpus w Czechach miał najwięcej uciepieć. Ocknął się nakoniec Napoleon, ale osłabiony nie mógł tak prędko działać i po ocknieniu upłynęło kilka godzin nim zmysły przysły do dawniej dzielności. Ta przypadkowa choroba zepsuła plan cały. Nieprzyjaciel pozajmował pozycye, w których go uprzędzić miano. Korpusa więcej

przez słoty, jak przez harce osłabione, inny musiały wziąć kierunek, na ostatek cofnąć się były przymuszone. Słowem wszyscy którzy o tej przypadkowej chorobie wiedzieli, jednostajnie twierdzili, że ten przypadek uwolnił sprzymierzonych od takiego upadku, z któregooby się podźwignąć nie mogli przez długi czas.

Wróćmy się teraz pod Lipsk. O rozpoczętej rejteradzie i jej kontynuowaniu może wypadnie co powiedzieć, a co czytelnika choć cokolwiek interesować będzie. Po śmierci księcia Józefa i po zabraniu reszty jego korpusu (który w tej bitwie lipskiej tyle ucierpiał i który przed samym zgonem wodza swojego jeszcze odznaczał się męstwem i gdyby nie wysadzono było mostu zawczasie, byłby się pewno z chwałą cofnął i rzekę przeszedł). Po śmierci księcia i zabraniu reszty korpusu jego w niewolę wojenną, ci co jeszcze pozostali Polacy, stali się jakby odrętwiałemi i zdawali się rozpaczać. Ale dzięki niebu, iż nie wszystkich zaraziła ta odrętwiałość. Wielu jeszcze między nami ożywiało się tem męstwem prawdziwym, które w największym nieszczęściu wznosi ducha ludzkiego i już nietylko nie pozwala człowiekowi upadać, lecz owszem zachęca go do walki z najzaciętszemi losami.

To męstwo jednych przeszło i do innych i wnet wszyscy Polacy postanowili walczyć do ostatka z nieszczęściem i być wiernymi Napoleonowi do końca, choćby go jeszcze przygnębiły losy.

Ta stała wierność i niezwalczony nieszczęściem męstwo Polaków podobały się cesarzowi Francuzów i z większą usilnością, niż kiedy, chciał nas przy sobie zatrzymać. Na miejsce księcia Poniatowskiego, mianował wodzem niewyginionych jeszcze Polaków generała dywizji księcia Antoniego Sułkowskiego. Nasz pułk 4-ty od innych pułków polskich najlicniejszy połączony z batalionem gwardyi stariej grenadyerów francuzkich, postępował spokojnie aż pod Gelnhausen, małe miasto na drodze naszej rejterady. Tam dowiedzieliśmy się z zalem, iż duch zgubny stronnictwa wcisnął się między niektórych generałów naszych. Jedna część daleko mniejsza, na której czele był sam dowódzca Polaków książę Sułkowski, chciała porzucić Napoleona i połączyć się z sprzymierzonymi, czyli jako słaba strona zdać się na łaskę zwycięzców. Druga większa połowa, przy której stali oficerowie wszyscy, chciała zostać cesarzowi Francuzów wierna, niechby czekało go przeznaczenie chociaż najzgubniejsze. Ta wierność tem nam się zdawała świętszą, bo tak w świetnych Napoleonach czasach, jako i teraz w nieszczęsnem położeniu jego mieliśmy zawsze na celu nieszczęśliwą Oj-

czyznę naszą, o której wskrzeszenie tyle już trudów i niebezpieczeństw podjęliśmy, i dla istnienia której tyle braci naszych już krew swoją przelało, nie tylko na własnej ziemi ale i w tyłu obcych krajach. Tą mówię wiernością naszą, chcieliśmy pokazać światu że godni jesteśmy tej Ojczyzny, której szukaliśmy.

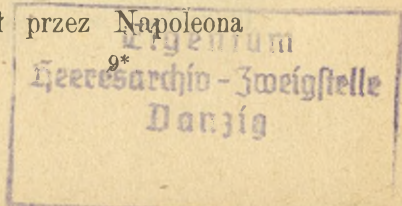
Mimo tak chlubnych i niczem niezwruszonych przedsięwzięć, książę Sułkowski przywłaszczwszy sobie pełnomocnictwo podkomendnych Polaków stanął przed Napoleonem i oświadczył mu wyraźnie: iż reszta Polaków Renu nie przejdzie. Tę propozycję miał bardzo źle Napoleon przyjąć i te czyli tem podobne miał do niego wyrzec słowa: „Jenerale! nie wierze ci abys był wiernym tłumaczem uczuć zawsze mnie i swojej Ojczyźnie wiernych Polaków. Cóż zyskacie chociaż się poddacie na łaskę przeciw mnie sprzymierzonych. Los waszej Ojczyzny wątpliwym przez ten wasz krok zostanie. Żebym nie poważał męstwa Polaków, nie wzbraniałbym im iść za którą obcą stroną. Aleście mnie bardzo zobowiązali już to wiernością, już walecznością waszą. Mała was liczba niewiele mi pomocy rokuje, niechcę jednak was opuścić. Tyle krwi polskiej w sprawie Francyi wylanęj, wołałoby kiedyś że byłem dla Polaków niewdzięcznym. Z tem wszystkiem chcę się osobiście przekonać, czyli wszystkich Polaków jest wola porzucić mnie przed Renem.

W rzeczy samej rozkazał Napoleon zebrać się oficerom polskim i stanąwszy w środku ich koła zapytał się: „Czy w zachwianem jego szczęściu chcą go opuścić na zawsze?“ Ale jednomyślnie odpowiedzieli wszyscy: „Cesarzu! jakiegobądź przeznaczenie czeka nas przy tobie, zawsze Polacy zostaną aż do końca wiernymi“ i to przyrzeczenie stwierdzili uroczystym okrzykiem: „Niech żyje cesarz!“

W środku tego koła zebranych Polaków nie byłem, ale to wszystko co opisałem wyżej, zaraz po rozejściu się koła, słyszałem od przytomnych kolegów moich.

Po takim przekonaniu się, odebrawszy Napoleon komendę księciu Sułkowskiemu, pozwolił mu udać się do sprzymierzonych i wszystkim, którzyby za jego przykładem iść chcieli. Ale prócz jego służącego żaden z Polaków nie korzystał z jego przykładu. Jakie powody skłoniły księcia Sułkowskiego do tego kroku, nie jest mi wiadomem. Potomność usunąwszy z nich zasłonę, niech je oceni.

Jak nadmieniałem wyżej, pułk nasz przyłączony do batalionu grenadyerów gwardyi francuzkiej, postępował przy bagażach cesarskich. Prócz nieprzyjaciół, którzy razili armią francuzką z tyłu i z boków w czasie powszechnego cofania, sześćdziesiąt tysięcy po większej części Bawarczyków i Rosyan przecięło nam drogę pod Hanau. Wybór wojska jaki jeszcze pozostał Francuzom, wysłany był przez Napoleona



do wyparcia tego nieprzyjaciela z pozycyi i otworenia drogi do Renu. Udał się ten zamysł zupełnie. Armia nieprzyjacielska po walecznym z początku oporze, wyparowaną zostawszy, cofnęła się w lewo w górę ponad rzeką Menem przez Francuzów ściągana. Sam Napoleon osobiście dowodził w tej wyprawie. Ostatnia to była utarczka z tej strony Renu i prócz tylnej straży, która zasłaniała cofanie, żaden z osłabionych korpusów francuzkich nie potykał się z nieprzyjacielem. W stoczonej pod Hanau bitwie obie strony przypisywały sobie zwycięstwo. Francuzi dla tego, że po wyparowaniu nieprzyjaciela z pozycyi spokojnie zrejterowali się za Ren, a sprzymierzeńcy dla tego zapewne, że po ustąpieniu Francuzów mogli za nimi postępować z ostrożnością. Chociaż Bawarczykowie bronili pozycyi pod Hanau upornie, natarczywość jednak gwardyi konnej francuzkiej, osobiwie kirysyerów, wytrzymać nie mogli. Czworoboki bawarskie tak dotrzymały miejsca, że wycięci w nich żołnierze po mężnym zgonie, jeszcze przekonywali przechodnia, że w niezachwianych szeregach zginęli, bo swemi poległemi ciałami i po śmierci formowali czworoboczne ściany.

Przeszedłszy koło Hanau, nasz pułk (podobno i innych pułków szczątki) zatrzymał się w Frankfurcie nad Menem. Przez dzień jeden czyli dwa, tu rozłączyliśmy się z batalionem francuzkiej starej

gwardyi pieszej. Po przejściu Renuznaczono nam wszystkim Polakom za garnizon Sedan i jego okolice. Jenerał Dąbrowski w swym rozkazie dziennym dziękował oficerom naszego pułku za gorliwość, szczególnie, że nasz pułk chociaż ucierpiał tyle co inne, przecież najliczniejszym przyprowadziliśmy go aż do miejsca. Z wszystkich pułków polskich jeden tylko Nadwiślański miał koło czterdziestu ludzi w szeregach, a nasz pułk liczył żołnierzy zdrowych i dobrze uzbrojonych blisko pięciuset.

Za staraniem jenerała Dąbrowskiego i Sokolnickiego, oraz i innych oficerów tak wyższych jako też i niższych, wyprawiliśmy uroczyste egzekwie w pryncypalnym kościele Sedańskim za duszę s. p. księcia Józefa Poniatowskiego. W środku kościoła wspaniały katafalk po większej części z armat i innej broni przez inżynieryą naszą wystawiony nie tylko zadziwiał Francuzów, ale ich prawie tąż samą co i nas Polaków przejmował żalobą. Mowę pogrzebową wypracował i miał jeden z oficerów wyższych, którą wszystkich Polaków rozrzewnił. Na pochwałę tej mowy wymienić mi tylko potrzeba nazwisko jej autora, był nim terażniejszy jenerał Morawski.

Kapelan Majewski, który infułatem zamojskim umarł, także wymowne kazanie do zgromadzonych Polaków powiedział.

1-go stycznia 1814 r. zebrane szczątki armii polskiej tak uorganizowane zostały w Sedanie:

1) Skompletowano ułanów czyli gwardyą lekką konną, którą zawsze dowodził terażniejszy generał jazdy Wincenty Krasieński.

2) Uzupełniono pułk Krakusów, których po francuzku nazwano les éclaireurs. Jego dowódcą został pułkownik Oborski.

3) Utworzono dwa pułki ułanów polskich, którymi dowodził nie pamiętam kto.

4) Co jeszcze pozostało Polaków zdatnych do boju, tych wcielono do naszego 4-go pułku i nazwanego już nie 4-tym, lecz tylko bez numeru pułkiem piechoty Nadwiślańskiej. Tym na nowo reorganizowanym pułkiem miał dowodzić pułkownik później generał Cichocki, lecz jako niezupełnie wyleczony z ran odebranych pod Lipskiem, zdał dowództwo pułkownikowi Szymanowskiemu. Gdy i ten podziękował, oddano dowództwo pułkownikowi Kosińskiemu.

Co tylko skończyło się organizowanie pułków, każdy udał się na przeznaczone miejsce. Pułk nasz na teraz piechoty Nadwiślańskiej, odebrał rozkaz udania się do miasteczka Compiègne ku Paryżowi. W tem mieście najprzód i wsiach najbliższych rozłożyliśmy się, lecz wkrótce odebraliśmy rozkaz obsadzenia brzegów obszernych lasów puszczy compieñ-

skiej. Tu dowodził nami ze wszech miar zacny, swojego stopnia godny, uczony generał-dywizyi Sokolnicki.

Na téj pozycyi naszej nie zaszła żadna utarczka z nieprzyjacielem.

Kiedy nasz pułk wzdłuż rzezonéj puszczy zajmował pozycyę swoją, nieprzyjaciel wyparował prawie bez oporu Francuzów z Soisson, miasta niegdyś obwarowanego, a wtenczas zaniedbanego. Niedługo nieprzyjaciel goszcząc w tem mieście, został znowu wyparowany przez Francuzów. Oczyszczonemu temu miastu z nieprzyjaciela, rozkazał Napoleon ministrowi wojny (Clarke) dać na gubernatora oficera dzielnego. Rozkazał jak najspieszniej przyprowadzić to miasto do obronnego stanu. Do armat, które tam już były, posłać jeszcze dział ciężkiego kalibru sztuk dwadzieścia cztery. Na garnizon zaś posłać 1) batalion gwardyi młodéj, 2) nasz pułk piechoty Nadwiślańskiej, 3) kohorty czyli milicye Orleańskie, 4) dwie kompanie artyleryi pieszej.

Wskutek powyższego rozkazu udał się nasz pułk z pod Compiègne do Soisson. Będąc już w marszu, odebrał pułkownik rozkaz, aby wszystkich żołnierzy niedobrze ubranych odesłał do depôt do Sedan, przez co nasz pułk i tak niekompletny, bo tylko tysiąc dwieście ludzi mocny, zmniejszył się

o trzysta głów, tyle bowiem żołnierzy odeszło do Sedanu.

W sile dziewięciu set weszli do Soisson, zastaliśmy tam wprawdzie batalion gwardyi młodej, lecz ten batalion (jak mówiono) z rozkazu marszałka Marmonta był wzięty wkrótce z Soisson. Zastaliśmy jeszcze około 30 ludzi kawaleryi lekkiej holenderskiej. Przyszły także dwie kompanie rekrutów artyleryi pieszej z 20 armatkami trzy funtowemi. Kohorty Orleańskie ani się pokazały, a batalion gwardyi pieszej raz wzięty, nie wrócił więcej. Otóż jest istotny stan tu opisany garnizonu, który miał bronić tego ważnego w planie Napoleona punktu, jak się pokaże niżej.⁵⁵⁾

Stanąwszy w tem mieście, wszyscy oficerowie naszego pułku mając na czele swego pułkownika, udaliśmy się z wizytą wojskową do gubernatora téj zaniedbanéj twierdzy. Jakżeśmy się zdziwili, gdyśmy zamiast dzielnego oficera, znaleźli może przeszło sześćdziesiątletniego starca, którego rysy żadnej nie przedstawiały energii. Był to generał Moreu, imiennik sławnego generała tegoż nazwiska. Mógł on być człowiekiem z innych miar zacnym (i takim w czasie naszego tam pobytu pokazywał się), ale duch wojenny ze swemi zdolnościami albo już był wygasł, albo go nigdy nie ożywił.

Przystąpię teraz do opisania miasta i jego fortyfikacyi, bo się to może przydać do lepszego zrozumienia szturm nieprzyjacielskiego, gdy go w swem miejscu opisywać będę.

Miasto Soisson leży na lewym brzegu rzeki Aisne. Za bramą Reims ma dosyć rozciągte przedmieście wałem nie objęte, także na lewym brzegu rzeki leżące. Ma i inne przedmieście maleńkie na przeciwnym brzegu rzeki, to wraz z miastem jest wałem opasane, lecz ten wał zewnątrz kamieniem ciosowym wyłożony, nie ma innej obrony jak fosse i to niegłęboka, która koło bramy paryzkiej była tak zawałona rozwalonym wałem, że nieprzyjacielskie kolumny bez przeszkody najmniejszej mogłyby były tamtędy przez wały wmaszerować do miasta. Na całej rozciągłości wałów, które może pół mili obwodu miały, była tylko w jednym miejscu przy rzece dość mocna bateria. Reszta armat, gdzie niegdzie po wałach rozstawionych, nie mając żadnej zasłony, były odkryte zupełnie, a zatem i artylerya przy nich będąca. Nadto przed bramą Reims były mały okop, jedną kompanią zasłonić zdolny, nie wyżej jednak do piersi. Otóż jest obraz, albo raczej szkic tylko, ale wierny całej fortyfikacyi miasta, którego z tak szczupłą siłą mieliśmy bronić.

Stojąc tam blisko miesiąc spokojnie, a nie widząc żadnych przedsiębranych robót do obrony słu-

żących, zaczęliśmy robić przedstawienia przez naszych oficerów wyższych do gubernatora, aby o tem pomyślał, ale to u gubernatora bez energii nie wiele skutkowało. I całe wały zostały w takim stanie obrony jak były. Gdy minister wojny zdał raport cesarzowi Francuzów, że miasto Soisson jest przyprowadzone do obronnego stanu, stósownie do życzeń jego, Napoleon natychmiast (tak powszechnie głoszone) wziął w obroty nieprzyjaciela, którego potężna siła coraz bardziej ku Paryżowi się zbliżała. Najprzód napadł na korpus pruski pod dowództwem feldmarszałka Blüchera. Ten zbity pod La ferte Milon w nieporządku (jak mówiono) największym cofał się ku Soisson.

Napoleon przekonany, że tamtędy nie przejdzie, uderzyć zamysłał na korpus rosyjski i w samej rzeczy uderzył na niego, ale ten nie czekając bitwy, zaczął spieszną rejteradę, który tak był zameranowany, że nie mógł także jak przez Soisson cofać się.

Tak blizki zguby nieprzyjaciel uwiadomił swoich o niebezpieczeństwie. Przybył zaraz generał pruski Bülow w dwanaście tysięcy pod Soisson. Ten korpus rezerwowy pruski przybył z Laon (już bowiem nieprzyjaciel miał tę fortecę w swojej mocy) o godzinie 8-měj z rana i żwawy przypuścił atak do przedmieścia leżącego na prawym i przeciwnym brzegu rzeki.

Koło godziny później przybył i korpus rosyjski od strony Reims do sześćdziesiąt tysięcy mocny (jak twierdził pułkownik rosyjski, później jako parlamentarzysta przybyły w nocy) i równie żwawo atakował nas z innej strony miasta, gdzie nas nie zasłaniała rzeka.

Musił nieprzyjaciel nie wiedzieć o zasypanej fosie koło bramy Paryzkiej, którego wyłomu dwie kompanie broniły, tamtędy bowiem pod zasłoną artylerii byłby wszedł do miasta z niewielką pracą i stratą, ile że nieprzyjaciel był w tak potężnej sile, a nasz cały garnizon ledwo podobno tysiąc ludzi liczył. Atak ten armatny wytrzymailiśmy aż ku wieczorowi.

Gdy ucichły działa przybyło dwóch parlamentarzysty. Jeden od korpusu pruskiego, drugi od rosyjskiego. Obydwaj zawezwali, abyśmy się poddali jako przeważnie większej sile. Gdy przeciwną odebrali odpowiedź, naczelnie tam dowodzący (jak mówiono) Rosyanom generał Wintzengerode, wysłał kilkanaście batalionów w kolumnach przez ogrody, które otaczały przedmieście Reims nieobjęte wałami, aby przypuściwszy szturm wzięły miasto nocą.

Gdyśmy spostrzegli zbliżające się kolumny piechoty (działo się to przy zaczynającym zmroku), trzy kompanie stojące pod bronią na placu w rezer-

wie, dwie grenadyerskie i trzecia fizylierska, odebrały rozkaz zrobienia żwawej wycieczki.

Ja najprzód z kompanią fizylierską pobiegłem galopem zmocnić pluton wołyżerski, który tego dnia był na warcie w bramie Reims. Wypadliśmy wraz z wołyżerami, zostawiwszy mały oddział w okopach przy bramie, a za nami zaraz jedna po drugiej kompanie grenadyerskie, przy nieustannym biciu w bębny do ataku. Wpadłszy na nieprzyjaciela przy zasłonie już mocnego zmierzchu, (który nie pozwalał nieprzyjacielowi rozpoznać naszej małej siły), przyjęliśmy go rześistym ogniem karabinowym i przymusili do cofnięcia się. Ta wycieczka zupełnie nam się udała. Nieprzyjaciel w tym szturmie (jak sam potem wyznał) utracił do 400 ludzi w zabitych i rannych. A my straciliśmy walecznego dowódcę wołyżerów, kapitana Wawrockiego i około 20 żołnierzy. Wyparowawszy nieprzyjaciela z przedmieścia i ogrodów, stanęliśmy pod bronią pod wałami. Ogień bowiem już ustał z stron obu dla nastąpisznej ciemniejszej jak zwyczajnej nocy.⁵⁶⁾

Niezadługo przybiegł parlamentarz do placówki naszej. Był to pułkownik rosyjski. Odebrał od niego papiery i odwiózł do gubernatora adjutant po nie przybyły, a pułkownik rosyjski, który je przywiózł, na tej samej placówce czekał na spieszna odpowiedź. Aby się ten oficer wyższy nie wdawał

w gawędkę z żołnierzami placówki, byłem wykomenderowany pod pozorem zabawienia go, żeby się nie nudził. Ten to pułkownik powiedział mi między innymi, że chociaż na wycieczce stracili cokolwiek zabitych i kilkunastu rannych, mała to i nie znacząca klęska dla armii mocnej przeszło sześćdziesiąt tysięcy Rosyan prócz Prusaków po drugiej stronie rzeki itd. Ja z mej strony odpowiedziałem, że nasz garnizon jest tak mocny i determinowany, że i większej sile pod zasłoną fortyfikacyi i artyleryi wałowej potrafi dać odpór.

Po rozmaitej gawędce z pułkownikiem, nie mogę tu pominąć godnej gorliwego i bezinteresownego Polaka odpowiedzi, którą dał sierżant z naszego pułku nazwiskiem, jak mi się przypomina, Domkiewicz.⁵⁷⁾ Pułkownik rosyjski kusił go dukatem czy więcej, żeby przyjął dla warty na piwo. Spojrzałem na sierżanta, groźnie mrugnąłem na niego i z znaczeniem. Sierżant zrozumiał mnie i natychmiast odpowiedział: „Pułkowniku! nie mogę przyjąć tego daru, boby go i żołnierze nie przyjęli odemnie. Nam Polakom nie pieniędzy, ale ojczyzny, której wszędzie szukamy, potrzeba.“ Po tej odpowiedzi poszedł ten sierżant natychmiast.

I Prusacy z przeciwnej strony rzeki atakujący nas, od siebie także przysłali parlamentarza^{58.)}

Już teraz nieprzyjaciel nie żądał bezwarunkowego poddania się, ale ofiarował korzystną kapitulację, aby tylko z miasta ustąpić. Stała się na koniec kapitulacja pod warunkami, jakich tylko zażądał gubernator i starsi miasta. Wolno nam było wyjść z bagażami i bronią. Armaty moglibyśmy zabrać zeby i wszystkie, jeźlibyśmy dostali potrzebnych podwód. My oficerowie chociaż przekonani byliśmy, że nazajutrz (jak nieprzyjaciel rozpozna źle ufortyfikowane miasto, a do tego kilkadziesiąt razy przewyższający nas w siłę), że mówię nazajutrz nie będziemy mogli oprzeć się tak przewyższającej potędze, nie chcieliśmy jednak należeć do podpisania kapitulacji, chociaż nieprzyjaciel podpisów kapitanów żądał. Pułkownika tylko namówiono, że tę kapitulację podpisał.

Muszę też oddać sprawiedliwość i żołnierzom naszym, którzy wraz z oficerami byli determinowani bronić się do ostatniego i nie oddawać miasta. Niektórzy z nich odzywali się do nas: „Panowie oficerowie! My nie odstępimy was i wy nie odstąpiecie nas, brońmy się do ostatniego, a nie poddawajmy się — do tego czasu wstyd nam jest, żeśmy się poddali w Szpandawie. Lecz w Szpandawie nie na nas samych wstyd pada, bo tam więcej było Francuzów niż Polaków i oni rządzą!”

Po podpisaniu kapitulacyi zebrał się cały nasz garnizon na placu gotując się do wymaszerowania, działo się to koło godziny 8-mej z rana. Wtem przybyło kilku generałów rosyjskich, z których jeden (nie wiem jego nazwiska, mówiono że to był Płatów, hetman Kozaków), zawołał w głos w francuzkim języku: „Ou sont ces braves defenseurs de cette ville?“ Pułkownik odpowiedział: „Les voila tous!“ Wpadłszy w zadumanie po niejakięj chwili rzekł: „Tak waleczni obrońcy nie tylko tak zaszczytnęj, ale zaszczytnięjszëj jaka tylko być może, warci są kapitulacyi.“ Tu zwrócił konia i pojechał.⁵⁹⁾

Około godziny dziewiętej rannëj przy biciu w bębny udaliśmy się w marsz ku armii francuzkiëj, konwojowani przez konnopolców rosyjskich. Konwój ten doprowadził nas około czterech mil francuzkich pod Compiègne. W tem miejscu czekaliśmy na dalsze rozkazy.

Jak tylko Napoleon odebrał raport o poddaniu się Soissona, twierdzono powszechnie, że się rozgniewał mocno na gubernatora, na dowódcę garnizonu, pułkownika naszego, na nas nawet, a najszczególnięj na ministra wojny, księcia Clerque. Jakoż jeszcześmy nieprzyszli do Compiègne, gdy gubernator z pułkownikiem naszym Kosińskim odebrali rozkaz udania się do Paryża, aby zdali sprawę dla czego kapitulowali.

Nieprzyjaciel skoro tylko wkroczył do Soisson, natychmiast zaczął się przeprowiać na drugą stronę rzeki. Sam przez się dał widzieć, że mu spiesznie było, bo nie przestając na jednym miejscowym moście murowanym, czem prędzej i drugi ze statków postawił, aby się tem spieszniej mógł przeprowić. Po skończonej przeprowie zaraz nieprzyjaciel opuścił Soisson i udał się, jak mówiono, ku Laon.

Niedługo spoczywaliśmy w Compiègne. W pięć czyli sześć dni, odebraliśmy rozkaz udania się napowrót do Soisson.

Przed naszym przybyciem do tego miasta, już tamtędy przeszła armia francuzka, ścigając nieprzyjaciela, który obrawszy sobie mocną pozycję około fortecy, kontent, że uszedł z matni i rozwiął mdlejącą w sobie odwagę, spoglądając na najeżone działa fortecy, pod których opiekę udał się w groźącym sobie nieszczęściu. Przybywszy Napoleon do Soisson, przekonał się naocznie, iż to miasto mniej jak bardzo mało obwarowanem będąc, nie mogło się bronić.

Zwierzchność zaś municypalna będąc na pokojach u cesarza, dała najchlubniejsze świadectwo pułkowi naszemu, że się nietylko z największą gorliwością broniliśmy, ale i wielką nieprzyjacielowi zadaliśmy klęskę, gdyśmy pod wieczór żwawą i najochotniejszą uczynili wycieczkę. Tem świadectwem tak był zadowolony Napoleon, że nietylko nam

akordował dwadzieścia kilka krzyżów legii honorowej, ale w rozkazie dziennym, wydanym do armii francuzkiej, wystawiał polski garnizon Soissoński za wzór waleczności.

O tym rozkazie dziennym (gdym nie mając jeszcze ran zagojonych wszedł do szpitala wojskowego w Strasburgu), kapitan francuzki z południowej armii nazwiskiem Boivelle w dziewięć miesięcy po tem zdarzeniu uwiadomił mnie o tem. Przyrzekł nawet wystarać mi się o kopią tego rozkazu, ale ja wprzód wyzdrowiawszy wyszedłem z lazaretu.

Nasz pułk z Soisson udał się także za armią francuzką w kierunku ku miastu Reims. W tem mieście zabrali Francuzi około 4000 niewolnika. Tych spotkaliśmy w drodze. Ja z moją kompanią odebrałem rozkaz eskortowania ich w tył do miasteczka Fime. Tam oddawszy tychże komendantowi, wróciłem do pułku.

Tu nasz pułk został przyłączony do korpusu marszałka Ney, z którym poszliśmy do miasta Châlons. Prusacy stojący w tem mieście tak spieszenie uszli z tegoż, że nie mieli czasu uwiadomić patrolu wysłanego, że wychodzą. Patrol ten bez podejrzania przybliżywszy się do miasta, był wzięty w niewolę wojenną od oddziału naszego będącego na warcie w bramie.

Z Châlons wyruszyliśmy wraz z korpusem mocnym około 8000 ludzi w kierunku ku miasteczku Arcis sur Aube. Nasz pułk polski był wtenczas mocny około 900 ludzi.

W marszu w czasie spoczynku około godziny drugiej z południa naprzeciw nam na wzgórzu ukazało się kilkanaście koni kawaleryi nieprzyjacielskiej. Ja w ten dzień komenderowałem przednią strażą, mocną sto dwadzieścia ludzi piechoty, złożoną w połowie z Polaków. Oprócz kilkunastu koni przy marszałku inną przy korpuse nie było kawaleryi. W czasie spoczynku zająłem pozycję około trzechset kroków przed korpusem, postawiwszy czaty przed sobą. Spostrzegłszy, jak wyżej rzekłem, nieprzyjaciela, zameldowałem marszałkowi, niedaleko przedniej straży spoczywającemu. Natychmiast wsiadł na konia i jego świta też samo. Ruszył naprzód, a mnie w niejakić odległości kazał za sobą posuwać się. Ledwo marszałek zajął to samo wzgórze z swą świtą z kądem się nieprzyjaciel cofnął, spostrzegł wieś, w której się usadowiła kawalerya nieprzyjacielska. Miała ona przed wsią lekkokonną artyleryą, która nas przywitała armatniami kulami. Marszałek nie zważając na to, rozpoznawał wieś z tego wzgórza, mnie zaś rozkazał, abym z mego oddziału dał trzydziestu ludzi i jednego oficera, którzyby rozsypawszy się, ogniem karabinowym niepokoiłi artyleryą, mnie

zaś z resztą batalionu (tak mój oddział nazwał marszałek), rozkazał wyparować ze wsi nieprzyjaciela. Gdy powiedziałem marszałkowi, że tylko mam oddział z dziewięćdziesiąt ludzi, „to nic nie szkodzi,“ rzecze, „taki oddział Polaków znaczy u mnie tyle ile batalion.“ Wtem wskazał mi punkt na który mam uderzyć i w samej rzeczy wyparowałem nieprzyjaciela za wieś.

Po wyparowaniu nieprzyjaciela ze wsi, cały korpus nadciągnął i przenocował w obozie za tąż wsią. W tej aferze ja i dzielny podporucznik Cwierczakiewicz z swymi tyralierami czyli strzelcami kilku tylko ludzi mieliśmy rannych.

Nazajutrz raniuteńko*) wyruszyliśmy ku Arcis sur Aube, lecz tego dnia jeszcze nie stanęliśmy pod tem miasteczkiem, dopiero dnia trzeciego, to jest 20-go marca 1814 r. około 7-mej godziny z rana, cały korpus Ney'a był z nami. Napoleon tegoż dnia spotkał nas ze swoją świtą i stanął w Arcis. Spocząwszy pod tem miasteczkiem może godzinę spokojnie, odebraliśmy rozkaz udania się na wschodnią stronę tegoż miasta. Tu nad rzeką Aube, niedaleko wsi Torsi, zajęliśmy stanowisko i uformowaliśmy czworobok. Bateria artylerji polowej usadowiła się na lewem naszym skrzydle. Pułk kawaleryi francuzkiej stanął w tyle nas. Dwa pułki piechoty

*) 19-go marca.

francuzkiej zostały na zachodniej stronie miasta. Tyleż piechoty i kawaleryi z korzyścią zasłaniało Arcis od południa. Około godziny 8-mej rano na wzgórzach od strony południowej pokazał się nieprzyjaciel z liczną artyleryą. Natychmiast z obu stron zaczęła się żywa kanonada. Wieś Torsi, gdyśmy się sadowili koło Arcis, już podobno była zajęta przez nieprzyjaciela; o tę wieś zacięta toczyła się walka, obydwie strony odbierały ją sobie po kilka razy. Nasz pułk aż do zmierzchu stał w czworoboku, posuwając się zwolna to w prawo, to w lewo lub naprzód, jak wymagała potrzeba, aby kule armatnie mniej szkodziły czworobokowi, który artylerya nieprzyjacielska chciała swemi działami rozbić. Tu muszę uczynić wzmiankę, że po upadku Napoleona niektóre pisma najzłośliwiej czerniły ówczesnego cesarza Francuzów, że w boju unikał niebezpieczeństwa. Jest to złośliwe kłamstwo. Kiedy najżywiej działa nieprzyjacielskie na nasz czworobok biły, Napoleon kilka godzin stał na czele ściany frontowej i ztamtąd wydawał rozkazy. Świta jego może o sto kroków stała za czworobokiem. Gdy noc następowała rozkazano naszemu pułkowi, aby się posunął w kolumnach pod samą wieś Torsi. Stojąc tam czas niejaki, pierwszy nasz batalion posłano, aby odebrał tę wieś co tylko Francuzom wydarta. Jenerał francuzki złą mu wskazał dy-

rekcyę, bo ledwie co tenże batalion wszedł do wsi, (co się działo już przy ciemnym zmierzchu), artylerya nieprzyjacielska stojąca na pozycyi na prawej stronie, tak go przywitała kartaczami, że straciwszy kilkadziesiąt ludzi w rannych i zabitych, cofnąć się spiesznie był przymuszony. Po tym nieszczęsnym wypadku przyjechał generał-adjutant do batalionu 2-go (w którym ja komenderowałem kompanią 3-cią) i rozkazał nam toż samo iść naprzód i odebrać wieś straconą.

Poprowadził nas aż do wsi. Tu nas opuścił niedawny dyrekcji. Kapitan najstarszy w batalionie, (bo szef batalionu nie był przytomnym), Franciszek Paczkowski prowadził nas, wzięwszy kierunek w lewo, aby ominąć baterją nieprzyjacielską.

Cośmy się tylko w cichości przedarli przez żywe płoty do wsi, uszykowaliśmy się do boju. Wtem ukazały nam się dwie drogi; jedna z nich szła w prawo, druga w lewo. Kapitan komendujący brał kierunek w prawo, tu doradziłem mu, aby wysłał oddział na drogę lewą, aby ten posuwając się naprzód, objaśniał batalion biorący kierunek na prawo, odkrywając (gdyby były jakie) nieprzyjacielskie zasadzki. Usłuchał mnie i mnie samemu z kompanią 3-cią kazał maszerować drogą na lewo. Wieś była oświecona zapalonymi przez nieprzyjaciela gdzie niegdzie domami. Ledwo postąpiłem pare set

kroków wskazaną drogą, napotkałem oddział Bawarów, który spostrzegłszy mnie, spieszenie się cofał ale w porządku. Ponieważ miejsce było po temu, już maszerowałem w porządku do boju. Na widok ten nieprzyjaciela wysłałem kilku tyralierów (strzelców) z kompanii, aby cofającego się nieprzyjaciela w nieład wprawiali strzałami. Ja postępowałem z kompanią podwójnym krokiem.

Nagle znika mi z oczu nieprzyjacielski oddział. Ja spieszniej ale zawsze w porządku postępuje naprzód. W tem nagle niedaleko kościoła przed cmentarzem odkrywam mocny oddział Bawarów stojący w linii bojowej, trzymający na ramieniu broń. Ufny że batalion niedaleko być musi, natychmiast namyśliłem się i nadstawionym bagnetem żwawo uderzyłem na oddział. Ponieważ drogę moją przecinała ulica wiodąca do kościoła, przeto tak blisko podsunąłem się pod nieprzyjaciela, że gdym go spostrzegł, nie był odemnie najdalej może trzydzieści kroków, spieszenie więc nasze uderzenie bagnetem tak odurzyło nieprzyjaciela, że nam się tak dozwolił zbliżyć do swoich szeregów, że ich nietylko kłuli, ale nawet broń wydzielali, złożyć jednak broni do czego ich wzywałem nie chcieli. Tu wydzierając broń podoficerowi na prawem skrzydle, w minut może trzy po rozpoczętym ataku odebrałem 3 rany kulą karabinową, który to wystrzał nieprzyjacielski nie nastąpił do-

piero po kilkakrotnej komendzie: „Kinder feuer! Kinder feuer! przez majora komenderującego.

Co tylko odebrałem ciężkie te trzy strzały, jeden w rękę prawą, w staw przy dłoni, drugi powyżej łokcia, trzeci w bok prawy (pierwszy strzał był najniezszczęśliwszy bo moją rękę dotąd bezwładną czyni). Co tylko mówię odebrałem te strzały, przybył z batalionem mężny Franciszek Paczkowski i zaczęta przezemnie walkę wykłuciem, rozproszeniem i reszty oddziału tego zabranem. Komendant tegoż oddziału, także ciężko ranny major bawarski dostał w niewolę naszą. Po tem zwycięztwie co było jeszcze nieprzyjaciela we wsi, bez wielkiego oporu porzucił ostatecznie swą zdobycz i wieś z jej okolicą w rękę Polaków zostawił. Jak mi opowiadali moi koledzy, jeszcze tej nocy przybył Napoleon do pułku naszego i dziękował Polakom za wzięcie tejże wsi, chwalać waleczność polską⁶²).

Nazajutrz udałem się z innymi rannemi do Paryża, gdzie przybywszy ulokowano nas Polaków w Val-de-grâce, szpitalu wojskowym. Liczba samych Polaków wynosiła kilkunastu oficerów i może z układem sto żołnierzy. W lazarecie tym leczyliśmy się spokojnie aż do 31 marca. W tym dniu nieprzyjaciel zaczął z rana atakować Paryż.

Tak ta ludna stolica Francyi, ze stu batalionami (jak mówiono) milicyi mając wały najeżone

kilkuset działami przy pomocy dwóch choć nie-
licznych korpusów, zostających pod komendą mar-
szałka Marmont, ta mównię francuzka stolica, ma-
jąca blisko miliona ludności tylko się do jedenastej
godziny broniła. Po południu do szpitala przynie-
siono wiadomość że Paryż przez kapitulacyę nieprzy-
jacielowi oddany został.



Przypiski.

¹⁾ Odezwa Dąbrowskiego była wydana 3-go listopada 1806 roku.

²⁾ Najpierwszym wszedł na Polską ziemię korpus Marszałka Davoust'a. Do Poznania on wszedł 10 listopada. (30-ty Bulletin Wielkiej Armii) Höpfner w swoim dziele „Der Krieg von 1806 und 1807“ tom 3-ci str. 51 pisze: „Wstąpienie Francuzów do Poznania było sygnałem do ogólnego powstania w Prusach Południowych.“

³⁾ Prusak Edward Höpfner, autor wielkiego dzieła o wojnie 1806-1807 (Tom 4 str. 286) raczył się odezwać w następujący sposób: „Książę Sułkowski nabrał różnego motłochu i proponował Napoleonowi z uformowanym pułkiem przy oblężeniu miasta Kozel assistować. Napoleon dla braku wojska kazał swojemu bratu z propozycyi korzystać, lecz się okazało, że te tłuszcze mogły służyć tylko do tego, aby kraj pustoszyć i prowadzić wojnę z biednymi mieszkańcami.“

⁴⁾ Zdaje się że szanowny autor tutaj się pomylił. Nie 15-go stycznia oni wyszli ku nieprzyjacielowi, ale daleko wcześniej, bo już 16-go grudnia, jak pisze Höpfner (4, 719) Pruski major Stutterheim oświadczył gubernatorowi Grudziądza, że on idzie do Świecia z 800 ludźmi Gdańskiego garnizonu, żeby zebrać wiadomości o powstańcach, których się

bardzo obawiali w Gdańsku. 30 grudnia major Stutterheim już wracał do Gdańska pędzony powstańcami.

⁵⁾ Jerzy Samuel Bandkie w dziejach Królestwa Polskiego (I. 340) ten wypadek opowiada tak: „Rozruchy w Wielkiej Polsce, gdy przemagający Władysław Odonicz stryja Władysława Laskonogiego za pomocą Pomorzan z własnego wyzuc usiłował udziału, mszcząc niesprawiedliwe swojej dzielnicy przez niego zatrzymanie, dały pochop Leszkowi Białemu do zwołania zjazdu wolnego do Gąsawy niedaleko Żnina na dzień św. Marcina.

Dany pozór pomiarkowania książąt Wielkopolskich w zaszytych kłótniach, lecz prawdziwa była przyczyna odzyskania Nakła, które Pomorzycy opanowali.

Wezwany tamże z Odoniczem został Świętopełk, starosta oraz wszyscy biskupi i panowie prowincji koronnych.

Chciał Leszek podejść Świętopełka aby go bez mocy oręża łącniej zatłumić. Nie uszła bystrego oka sieć nastawiona. Świętopełk z Odoniczem porozumiawszy się, postanowili Leszka uprzędzić. Odonicz miał się znajdować na początku zjazdu, dla niedania poznaki że się lęka: Pomorzycy zwlekać pod różnymi pozorami przybycie, i potem dopiero wpaść z orężem na nieostrożnych gdy się książęta nadzieją bytności jego spokojnej ubezpieczą.

Stało się wszystko jak sobie oba ułożyli. Zaczęło się sejmowanie w przytomności rzeczonych książąt, oraz arcybiskupa Gnieźnieńskiego Wincentego, biskupów krajowych i wielu znaczniejszych obywateli. Czekano przez trzy dni na Świętopełka, układając wyprawę ku Nakłowi. Alić czwartego dnia, gdy Leszek z Henrykiem poszli, powstał srogi rozruch i zamieszanie. Świętopełk uwiadomiony od szpiegów,

się książęta myli, wpadł do Gąsawy z pocztem ludzi zbrojnych gdzie wysiekłszy bezbronnych, po domach i namiotach, Leszka z Henrykiem szukać kazał. Na odgłos wrzawy i zabójstwa, wyskoczył Leszek i dopadłszy prawie nagi konia, z kilku orężnikami uciekać począł. Ścigał go Świętopełk aż

ku wsi Marcinowi i tam go po mężnej obronie zabił. Powiadają niektórzy że Świętopelk uciekającego z łaźni Leszka na swego konia porwał, chcąc go żywcem uwieść, lecz gdy go doganiano dla odbicia łupu, widząc trudność do ucieczki, własną ręką pana zamordował i trupa porzucił. Tymczasem reszta Pomorczyków, napadłszy w łaźni na Henryka, zaczęła go rąbać. Rzucił się na nurzającego się we krwi księżęcia, sługa jego, niejakiś Wejsenburg i ciałem własnem od dalszych rąków zasłonił go. Rozbójnicy zabiwszy na panu dworzanina, w tem mniemaniu że z nim razem Henryka ubili, precz odeszli: a on też po chwili wzięty od swoich w lektyce do Wrocławia uszedł. Działo się to dnia 14 listopada roku 1228.“

⁶⁾ Tak jak powstańcy pod dowództwem generała Dąbrowskiego poszli na Świeć, tak samo był wysłany do Mewe (Gniewu) 10-go stycznia 1807 r. przez Wice-gubernatora Gdańska, generała Manstejna 2-gi batalion dragonów pułku królowej pod dowództwem pułkownika Schaeffera.

Schaeffer wysłał porucznika Eichstäda z 35 ludzi jazdy do Ostrowit, kierując go przez Nowe miasto na Świeć dla zebrania wiadomości o sile i stanowiskach nieprzyjaciela. W Ostrowitach dowiedział się Eichstädt, że w Komorzu po tamtej stronie Neuenburga (Nowe) przyszedł oddział powstańców około 60 ludzi. Z 20 swymi ludźmi poszedł on zaraz z rana 13-go stycznia w celu napadu na nieprzyjaciela. Powstańcy szli w tym samym zamiarze i niechcący zeszli się na marszu w jednym defilé. Pruski oficer nie namyślając się, rzucił się na trzykroć silniejszego nieprzyjaciela, zabija polskiego generała Komorowskiego i 12-tu żołnierzy. Reszta zmuszona do ucieczki. W tym samym czasie Schaeffer był wzmocniony 400 fizylierami i jeden batalion był wysłany z Gdańska do Stargardu. Schaeffer miał zamiar atakować powstańców około Oszy i wszystkie przygotowania do tego już były zrobione, gdy powstańcy ustąpili po drodze do Bydgoszczy.

Pułkownik zaś Schaeffer dowiedziawszy się że Francuzi prawym brzegiem Wisły posuwają się do Marienwerder (Kwidzyn) zrejterował do Mewe (Gniewu) i Danziger-Werder.

Höpfner 3. 337.

⁷⁾ Höpfner (3. 338) opowiada ten wypadek w taki sposób: „Pułkownik Schaeffer, jak już wyżej powiedzianem było, ustąpił z swoim oddziałem do Danziger-Werder, około Trutenau i Wozic mając poczty rozstawione po Wiśle i pilnując przeciw Elbingowi przybliżający się oddział głównej armii francuskiej, który zmusił generała Rouquette do rejtetry. Porucznik Schierstaedt z 60 huzarami pułku Blüchera i 50 fizylierami, umieścił się między Szenek i Czczewem i utrzymywał patrole około Świecia. 26-go stycznia dowiedział się ten oficer, że do Preussisch-Stargard weszło 150 powstańców. Tęj samęj nocy on postanowił ich atakować. Przednie poczty powstańców, które powinny były dać znać o jego przybyciu, częścią były zabite, częścią zaś huzarami prześladowane, tak że razem z nimi weszli do Stargardu. Pomimo tego Polakom udało się pozamykać bramy, lecz one przybyłymi fizylierami Schierstaedta były wzięte szturmem. Ci z powstańców co się opierali zostali zabici, 30 niewolników i dwa małe działa zostały wzięte.

27-go stycznia z rana, idąc w kierunku do Czczewa spotkał się porucznik Schierstaedt blisko tego miasta z bandą powstańców, silną 310 ludzi i w tęg chwili był atakowany. Nadzwyczajne zmęczenie ludzi i koni pozbawiło go możności oporu. Huzarzy byli odrzuceni, fizyliery wzięci do niewoli i wprowadzeni do Czczewa.

Zaledwie się dowiedział o tem pułkownik Schaeffer w tęg chwili wyruszył z 150 dragonami i 250 fizylierami na Wositz do Czczewa. Powstańcy z radości ze zwycięstwa, nie przedsięwzięli wszystkich środków ostrożności i wystawiony został tylko jeden pikiet za miastem po drodze do Gdańska.

Pruski pułkownik, z téj przyczyny przybył do miasta przez tamę Wisły. Zmienacka atakowany nieprzyjaciel, stracił w zabitych więcej jak 100 ludzi. Pułkownika Umińskiego, dwóch oficerów i 93 żołnierzy wzięto do niewoli, 103 konie były zdobyczą, fizylierzy byli oswobodzeni, dwie armaty wzięte napowrót, dużo broni i niewielka kasa zabraną.

Obiedwie te utarczki kosztowały Prusaków 3 zabitych i rannych: 1 oficera i 15 żołnierzy.

2-go lutego rozkazał Napoleon aby Polacy pomimo stawienia czoła Gdańskiej załodze, jeszcze uważali i Grudziądz z lewego brzegu Wisły (Höpfner 4. 724). Co ma się rozumieć Dąbrowski wykonywał.

Rozkaz ten jak pisze Höpfner miał miejsce 2-go lutego, a on będąc w Berlinie na czele wojennéj akademii miał zapewne dużo źródeł do napisania swojej historii. 2) Kapitan Kozłowski pisze, że 2-gie bataliony przyłączyły się do pułków, kiedy oni powrócili do Świecia. 3) W czasie potyczek w Stargardzie i Czczewie, główna kwatera Dąbrowskiego była w Gniewie, jak pisze Kozłowski. Po tych dowodach jakim sposobem czytamy w Chodźki dziele *Histoire des legions polonaises en Italie*, Tom 1, str. XLl takie słowa: „Après la brillante affaire de Graudentz Dąbrowski pris position avec environ sept mille Polonais le 1-re fevrier 1802 a Mewe sur la rive gauche de la Vistule.“ W Gniewie Dąbrowski był jeszcze wcześniéj. Siedmiu tysięcy u niego być nie mogło, a na Grudziądz on powinien był zwracać uwagę tylko po drugim lutym, i Höpfner, który przytacza w swoim dziele dziennik obleżonego Grudziądza, nie mówi zupełnie żeby w styczniu byli Polacy pod jego wałami.

Jenerał Manstejn, Wice-gubernator Gdańska, pisze Höpfner (3. 339), 2-go lutego wzmocnił pułkownika Schaeffera do 3,500 ludzi i 8 działami, by on maszerował do Mewe, gdzie stał jenerał Dąbrowski z 14 tysiącami (?) i udawał, że chce stojącemu na Wiśle Lestocq'owi uderzyć na prawe skrzydło, przeszedłszy Wisłę po lodzie. 2-go lutego powinien

był przybyć pułkownik do Mewe i razem z oddziałem korpusu Lestocq'a atakować miasto. Przez ustąpienie Beningsena do Preussisch-Eylan, atak ten przyprowadzony do skutku nie był, lecz pomimo tego powstańcy porzucili Mewe i poszli napowrót do Świecia.

4-go lutego Dąbrowski będąc na drodze do Świecia, przechodził w nocy naprzeciw Grudziądza, i oddziały co go strzegły połączyły się z wojskiem jego.

Po zupełnem ustąpieniu Polaków, gubernator Grudziądza posłał na lewy brzeg Wisły porucznika Hennerta z 20 jegrami (Höpfner 4. 724).

Kapitan Kozłowski pisał, że kiedy oni powrócili do Świecia, to do nich przyłączyły się ich 2-gie bataliony. To przyłączenie powinno być mieć miejsce 5-go albo 6-go lutego, albowiem w nocy 4-go Dąbrowski, jak widzieliśmy wyżej, porzucił okolice Grudziądza a 7-go już go widzimy z powrotem na drodze do Gdańska, albowiem 7-go lutego nasz znajomy porucznik Hennert, przed następującymi powstańcami schronił się na prawy brzeg Wisły za wały Grudziądza (Höpfner 4. 724). 9-go lutego pisze Höpfner (4. 725) pod Grudziądzem na lewym brzegu Wisły atakowali jegry Polaków, wzięli u nich w niewolę 22 i tyleż zabili.

10-go lutego batalion Polaków i 3 szwadrony przeszły na prawy brzeg Wisły.

11-go lutego o godzinie 4^{1/2} z rana 4 polskie bataliony będące na prawym brzegu Wisły parły Prusaków. Polacy szli po Wiśle od Mischkekrug, Rehkrug i Tarpen. W nocy o 11 godzinie przyszła do Grudziądza wiadomość, że Polacy chcą atakować od Wisły. Wszystkie środki były przedsięwzięte. (Höpfner 4. 725.)

⁸⁾ O tym legionie północnym mam następujące wiadomości: Fiéffé w swoim dziele „Histoire des troupes étrangers au service de France“ 2. 133 pisze: Une legione du Nord fut crée le 20 septembre sous le Nr. 1 a Juliers (Julich) Colonel: le general Zayonczek. W biuletynie 42 wielkiej armii z dnia 15 grudnia 1806 czytamy: La division

polonaise de Zayonczek qui a été organisée à Haguenau e qui est forte de 6,000 hommes est à Leipzig pour y former son habilement.“ Ma się rozumieć, że tu mowa o legii północnej. Fiéffé tamże pisze, że w Norymberdze 23 września była uformowana legia północna Nr. 2 pod dowództwem generała Wołodkowicza i w Marcu 1807 roku ona była wcielona do legii północnej Nr. 1-go.

Co się tyczy siły legii, są słowa biuletyna, że w niej było 6000 ludzi jest bajką, albowiem 1-go kwietnia u Höpfnera (3. 382) widzimy, że w trzech batalionach legii północnej było pod Gdańskiem 2,148 ludzi i to już po połączeniu się obydwóch legii. Tenże sam Höpfner (3. 346) mówi że 18 lutego 3,000 ludzi jednej tylko legii północnej nr. 1-go przyszło do Starogardu i wkrótce połączyli się z Dąbrowskim. Kozłowski pisze że ta legia „była uformowana z ochotników Polaków, którzy się dostali z wojska pruskiego do niewoli francuskiej.“

To powinno być prawdą, albowiem Fiéffé (2. 133) pisze, że 17 sierpnia 1807 r. legia ta przestąpiła na żołd króla Saskiego, mówiąc prościej, była wcielona do wojsk księstwa Warszawskiego. Zajączek objąwszy dowództwo 2-iej legii wojsk polskich, zdał dowództwo legii północnej księciu Radziwiłłowi, o czem się dowiadujemy z biuletynu 70 wielkiej armii gdzie powiedziano: „La legionne polonaise du Nord et le prince Michel Radziwill, qui la commandé, se sont distingués.“ (9 kwietnia).

Chociaż to było wojsko z Polaków złożone, lecz komenda była zdaje się we francuskim języku. Fiéffé (2. 222) pisze: „Lefebvie cita comme s'étant particulièrement distingués, les officiers de la légion du Nord Roumille, Scalabrino, Reuhaus et Spranghi.“ Wątpię by ci panowie mogli komenderować po polsku. Jak już wyżej powiedzianem było, legia po skończeniu wojny była wcielona do wojsk księstwa Warszawskiego. Książę zaś Radziwiłł w 1809 r. dowodził 5 liniowym pułkiem. (Sołtyk *Rélation des Operations...* 108) Na co nam jeszcze wypada zwrócić uwagę, że dekret

(według Piéffé) o formacji legionu północnego był wydany 20 Września 1806 r. a początek wojny był wypowiedziany Prusom rozkazem dziennym do wielkiej armii 6-go października. Wypada że Napoleon był pewny zwycięstwa i po drugie że on myślał o Polsce.

⁹⁾ W czasie bitwy Czczewskiej, pruski major Wostrowski szedł na pomoc z Muhlbanz, lecz wkrótce awangardą generała Mainard'a, pod dowództwem generała Puthod był atakowany.

Próżno się starał major Wostrowski przebić do Czczewa i wtedy gdy kanonada zacięła on powrócił do Praust na Radaunie w 1¹/₂ mili od Gdańska. Według francuzkich doniesień pruska odsiecz straciła 800 ludzi w zabitych i rannych. (Höpfner 3. 349).

NB. Generał Mainard dowodził korpusem Badeńczyków mocnym w 3,700 ludzi i połączył się z Dąbrowskim w Gniewie 18 lutego. (Tamże 3. 346).

¹⁰⁾ Höpfner 3. 349 pisze: „270 Prusaków przyszło napowrót do Gdańska; około 150 ludzi i ranny major Both byli wzięci do niewoli. Sześciu oficerów i 74 żołnierzy było rannymi i około 150 padło czy w walce czy to od rozjuszonych Polaków w mieście. Strata nieprzyjacielska była także wielka. Na polu bitwy pozostało 9 oficerów, 18 było rannych, między którymi był sam generał Dąbrowski i syn jego pułkownik, 300 rannych odesłano do Gniewu. Francuzi w swoich wiadomościach podają siłę Czczewskiego garnizonu na 1500 ludzi.

¹¹⁾ Według konwencji zawartej w Elblągu 13 października 1807 roku, między ks. Warszawskiem a Saksonią były ustanowione 3 trakty handlowe i jeden wojskowy. Trakt wojskowy szedł przez Kopanicę, Kargowę, Cylichowę i Krosno. (Höpfner 3. 709).

¹²⁾ Księstwo Warszawskie, co było większe od wielu królestw europejskich, bardzo często było nazywane wielkiem. Wielkiem je nazywał Napoleon (Schlosser VIII. 201). Maltbrune w ówczesnym swoim atlasie nazywa je Grand Duché.

W traktacie zawartym w Teplitz 9-go września 1813 r., nazywa ono się także wielkiem (Schlosser VIII. 300), nie dziw, że i Polacy także je nazywali wielkiem.

¹³⁾ Autor pisał swoje pamiętniki nie mając przed sobą mapy. On nie mógł iść przez Fuldę, Erfurt do Goty, lecz z Erfurtu przez Gotę do Fuldy.

¹⁴⁾ Autor pisał bez mapy i dla tego też robi pomyłki. Idąc z Montmedy do Reims nie byli ani w Verdun ani w Soissons. W Verdun byli, kiedy wracali z Hiszpanii. Idąc z Montmedy do Reims, przechodzili nie przez Soissons, ale przez nieszczęsną pamięć Sedan.

¹⁵⁾ Stary żołnierz z 9-go pułku ks. Warszawskiego w swoich przygodach (Biblioteka domowa. 5) pisze: „Po trzech dniach ruszyliśmy do Versalu, gdzieśmy złożyli polskie mundury a dostali francuzkie — przynajmniej mój pułk je dostał.

¹⁶⁾ Napoléon resté avec toute sa garde a Chamartin, distant de la ville d'environ deux lieues.

(Emile-Marco de Saint-Hilaire. Histoire de la garde Impériale p. 266).

¹⁷⁾ 11-go lutego kapitan Rudnicki przyszedł do Toledo i tam zastał Polaków.

¹⁸⁾ Wyprawa ta była wykonaną 20 lutego jak pisze w swoim pamiętniku Rudnicki (Cmentarz Powąz. 3. 76).

¹⁹⁾ Bitwa przy Ciudad-Real była 27 marca 1809 r.

²⁰⁾ W Toledo pozostawał jeden tylko 9-ty pułk i bardzo być może że jeszcze inne wojska, bo u Rocca w liście Jourdana do Soult'a czytamy: „.....Le roi, le 26, laissa trois mille hommes pour defendre Toledé.....

²¹⁾ Szczegóły dotyczące Polaków są umieszczone u Rudnickiego i Wojciechowskiego.

²²⁾ Kapitan Rudnicki w swoim pamiętniku ich nazywa: Podporucznik Kleniewski, Wincenty Hołownia dodaje że: Zambrzycki który 4-tym pułkiem dowodził był rannym. Według zaś pamiętnika Rudnickiego, Kozłowski opuścił jeszcze

zabitych 7-go pułku: poruczników Sielskiego i Tomickiego i podporuczników: Wilkotarskiego i Urbanowskiego.

²³⁾ Powinna być Ontigola.

²⁴⁾ Rudnicki podaje pełniejszą listę poległych (Cm. Powąz. 3. 81).

²⁵⁾ Schlosser (VIII. 11) pisze że Sabastyani wszedł do Granady 21 stycznia 1810 roku.

²⁶⁾ Sabastyani wstąpił do Malagi 5-go lutego 1810 r. Wojenno-Encyklopedyczny Lexicon VI. 214.

²⁷⁾ Bitwa pod Albuera była 16 maja 1811 roku.

²⁸⁾ Kiedy się zdarzył ten przypadek niewiem, lecz mam prawo powiedzieć że przed 20 sierpnia 1811 roku, albowiem żołnierz z 9-go pułku Ks. W. w swoich przygodach (str. 47 Bibl. domowa T. 38 Bruxela) wspomina o tym przypadku i o śmierci Jasińskiego, a on dostał się do niewoli i pożeglował na wyspę św. Heleny jak już wiemy 20 sierpnia 1811 roku.

²⁹⁾ Rok 1812 miesiąc luty. 26. Z linii której broniliśmy do Anteguera 5 m. 27, Koło Arcidona (Archidona) do Loxa. — Koło Arcidona jest skała, na którą od północy dość snadno wniknąć można, od południa gdzie strumień płynie jest przepaściasta. Tę skalistą górę nazywają Hiszpanie „s k a ł a r o z k o c h a n y c h.“ Takie nazwisko objaśniają następującą przez podanie powieścią: „Za panowania Maurów gubernator Anteguera mając w swym zamku niewolnika wojennego Hiszpana, dobrze wychowanego i pięknych przymiotów, wziął go na swój dwór, aby jego dzieci uczył hiszpańskiego języka. W tym młodzieńcu miała się rozkochać córka tegoż gubernatora i on w nią wzajemnie. Ci kochankowie wiedząc że ojciec na ich zamęcie nie pozwoli, nocą uciekli. Ojciec tę ucieczkę spostrzegł i wysłał za nimi w pogoń. Już dniało kiedy ich dopędzono blisko skały wyżej wzmiankowanej, ci nieszczęśliwi na nią się wdrapali. Za nimi posunęli się goniący. Kochankowie grozili im aby się nie zbliżali do nich bo się rzucają ze skały. Wysłancy bojąc się téj groźby, wysłali jednego do ojca. Ten przybył. Do zniścicia zachęcał,

lecz słowa że na ich połączenie zezwoli dać niechciał. Okrutny kazał ich siłą porwać, lub zwoździela tak nazywając wiernego kochanka zabić. Na ten rozkaz barbarzyński, córka przytułiła się do swego lubego aby z nim razem zginęła. Powtórzyli i ojcu swe przedsięwzięcie, że się rzuca w przepaść. On na to niezważając rzuca się ze służalcami do porwania ich, ale ci ścisnąwszy się wzajemnie, nim napaśtnicy przybyli, już byli zgruchotani u urwiska skał rzucający się w przepaść, a strumień ich krwią niewinną zafarbowany popłynął z tą smutną nowiną do morza. To zdarzenie miało dać nazwisko skale tak wzmiankowanej wyżej. — 28, Z Locha do Santa-Fe $4\frac{1}{2}$ m. — Santa-Fe miasteczko duże, leży od Granady na pięknej i żyznej równinie, o jego założeniu wspomniałem wyżej.

Marzec. 1, Do Pinos ponte $2\frac{1}{2}$ m. — Pod tą wsią są ciepłe kąpiele na kilka łokci pod ziemią zaniedbane. — 2, Do Alcala-Real 5 m. 3, Spoczynek. 4, Do Alquade 4 m. 5, Do Martos 3 m. 6, Do Anduhar 6 m. 7, Spoczynek. — To miasto za Rzymian miało się nazywać Lilurgia. Jaen. Stolica dawnego królestwa tego nazwiska, leżąca o 3 mile od Martos i tyle od Anduhar, została na prawo naszego marszu. — 9, Do Baylen. — Pamiętne kapitulacją francuzkiego jen. Duponta z Hiszpanami przed naszym przyjściem w roku podobno 1806 czy 1807. — 10, Do Karoliny 4 m. — Małe miasteczko między górami Sierra-Morena. — 11, Przed Alvizeljo, wieś ostatnią przy górach Sierra-Morena od północy, do Santa-Cruz 7 m. 12, Przez Valdepenias, sławne obszernymi winnicami i dobrimi winami, do Membrilla 6 m. 13, Spoczynek. 14, Przez Mansanares do Villa-rubia 6 m. 15, Przez Porto-Lapieze do Konsuegra 5 m. 16, Do Orhas przez Mansenaque 5 m. 17, Koło Mora, Maskaraka do Toledo 5 m. — W mieście tem, po większej części zamieszkanem przez duchowieństwo, jest wiele klasztorów i metropolia najpierwsza i najbogatsza może w Hiszpanii. — 18, Przez Cabanas, koło Ilscas do Escovias 6 m. 19, Przez Torrehon, Pasta, Hetofe do Ma-

drytu 6 m. — Ta stolica całej Hiszpanii leży nad małą rzeczką Mansanares, która chociaż po większej części wysycha, ma most z ciosowego kamienia długi i piękny. — Tu spoczęliśmy dzień jeden. 21, Przez La Rosa do Guadarama 6 m. 22, Przez góry Guadarama do Oltero do Errena 4 m. 23, Do Segowii 3 m. — W tem mieście istnieje jeszcze wodociąg (aquaeductus), jak mówią, przez Rzymian z rozkazu cesarza Trajana wystawiony, zadziwia on podróżnego śmiałym pomysłem i wytrwałością. Dotąd wszystko niszczący czas szanuje ten starożytny pomnik. Ogromna ta budowa przez wąwóz prowadzona, w niektórych miejscach kilkadziesiąt łokci wysoka, prowadziła od źródła wyborną wodę do miasta. Wystawiona jest z kamieni podłużno ciosanych granitowych, trzy albo cztery łokcie długich, półtora lub dwa szerokich i wysokich. Te głazy formują arkady jedne na drugich wystawione i z takich arkad cała budowa się składa, po których szczycie woda płynie. — 24, Do St. Maria de Nive 5 m. 25, Przez Olmedo do Fonte Koka 4 m. — Na prawo jest piękny zamek nazwany Pedromate. — 26, Do Vavestillas 4 m. 27, Przez Ponte de Duro do Valladolida 5 m. 28, Do Donnas 6 m. 29, Przez Torquemada do Villadrigo 8 m. 30, Do Burgos nad rzeczką Arlenzon przez Selada 7 m. 31, Spoczynek.

K w i e c i e ń. 1, Przez Monas..., Quintinaputa do Bribieska 8 m. 2, Pancorbo do Miranda nad Ebro 8 m. 3, Przez Carminion, Arenas, koło rzeki Sodora do Vittorya 5 m. 4, Spoczynek. 5, Przez Polonio, Monde Vitvore, koło zamku Gebora do Mondragon. — Na drodze we wsi Salinas było małe ufortyfikowanie przez Francuzów zrobione. Niedaleko stąd był atakowany przez powstańców hiszpańskich pułk 7-my polski. — 6, Przez Anzola do Villa Tient 4 m. 7, Przez Villafranca-Allegrin do Tolosa 5 m. 8, Przez trzy wsie do Ernani 4. 9, Przez Ojarson do Iron 4 m. 10, Przez Oronja do St. Jean de Luce 3 m. — Między Oronja i St. Jean de Luce płynie rzeka Bidassoa, ta stanowi granicę między Francją i Hiszpanią. Tu się kończą mile hiszpańskie

(Leguas), a zaczynają się mile francuzkie (lieu). — 11, Do Bayonny 4 m. 12, Spoczynek. 13, Do St. Vincent 4 m. 14, Do Dax 4 m. — Tu obfite źródło gorącej wody. — 15, Do Tartas 4 m. 16, Do Montmarson 4 m. 17, Do Roquefort 4 m. 18, Do Captieux 5 m. 19, Do Bazas 4 m. 20, Do Bersac 5 m. 21, Przez Castre do Bordeaux 8 m. 22, W tem mieście portowem spoczynek. 23, Przez rzeki Garonne i Dordogne do St. André 4 m. 24, Do Montlieu 6 m. 25, Do Barberieux 5 m. 26, Przez Route do Angoulême 6 m. 27, Spoczynek. 28, Do Mansle 5 m. 29, Do Ruffec 4 m. 30, Do Couhe 6 m.

M a j. 1, Do Poitiers 5 m. Tu spoczynek. 3, Do Chatellerault 5 m. 4, Do St. Maure 5 m. 5, Do Tours 5 m. Spoczynek. 7, Do Amboise 4 m. 8, Do Blois 5 m. — Te dwa miasta nad Loarą. Aby okolice nad Loarą leżące zabezpieczyć od wylewów téj rzeki, są groble kamieniami ciosowymi od strony rzeki wykładane z wielką pracą zbudowane. — 9, Do Beaugency 4 m. 10, Do Orleans 4 m. — To miasto zdobi pomnik Joanny d'Arc, sławnej francuzkiej wiochny. Tu mieliśmy spoczynek. — 12, Do Neuville 3 m. 13, Do Pithiviers 4 m. 14, Do Ville de Mille 7 m. 15, Do Melun 4 m. Tu spoczynek. 17 i 18, Do Chaumes, do Meaux 12 m.

Po naszój lewój ręce został Paryż. Przed nami postępująca Legia Nadwiślańska przechodząc przez tę stolicę, obsypaną została łaskami Napoleona. Większa część oficerów i podoficerów zostali mianowani baronami lub kawalerami z pensją lub samem wyposażeniem bez tytułów. Dywizyą Wielkiego Księstwa Warszawskiego to szczęście nie spotkało. Zdaje się, że Napoleon miał na widoku bardziej zachęcić lud polski do swoich szeregów, niżeli zobowiązać naród nasz. My bowiem byliśmy pułkami polskimi narodowemi, a Legia albo z Polaków złożona, liczyła się do armii francuzkiej. Po tym kroku cesarza wiele się zmniejszyła nadzieja nasza, czyli szczerze myśli o zupełnem wskrzeszeniu Ojczyzny, na której wskrzeszenie służąc jego interesom chcieliśmy zasłużyć.

Mówiliśmy między sobą: „miejmy cierpliwość i on może nie, ale Bóg wspomni na Polskę.“

19, Do La Férté Milon 7 m. 20, Do Soissons nad rzeką Aisne 8 m. 22 i 23, Do Laon fortecy i Vervins 15 m. 24 i 25, Do Irson i Mauber-Fontaine 10 m. 26, 27 i 31, Do Mézières, Sedan i Stenay. — W Sedan odpoczęliśmy trzy dni. Tu generał inspektor francuzki odprawił z nami przegląd. Od Sedan do Stenay postępuje się ponad rzeką Maas, która się toczy po przyjemnej równinie.

C z e r w i e c. 1, Do Verdun, fortecy nad rzeką Maas, 8 m. 2 i 3, Przez Harville do Metz 12 m. — Metz dosyć obszerne miasto i mocne; tu 4-go spoczynek. 5 i 6, Przez Courcell wieś do St. Avold 9 m. 7 i 8, Saarbrücken-Homburg 10 m. 9, Spoczynek. 10, Do Landstahl 5 m. 11, Do Kaiserslautern 4 m. — Tu kapitan Kownacki poległ w pojedynku od wypadku przy kartach. — 12, 13 i 14, Przez Vivaler i Alzey do Moguncyi 18 m.

³⁰⁾ Rudnicki (Cm. Pow. 3. 89) pisze, że Girard objął dowództwo nad Polakami jeszcze w Sedanie t. j. 28 Maja.

NB. Wypada dodać, że dywizya dowodzona przez Generała Girard, pomiędzy dywizjami Wielkiej Armii nosiła Nr. 28 i składała się oprócz polskich pułków 4-o 7-o i 9-o jeszcze z dwóch pułków Saskich; Lowa i Rechtena, jednego pułku Hessen-Darmstadzkiego i 1-go liniowego Westfalskiego. (Buturlin 2. 344).

³¹⁾ Bohdanowicz, rosyjski wojenny historyk (3. 185) pisze że Victor z korpusem swoim był w Tylży 9-o Sierpnia i pozostawał tam w przeciągu trzech tygodni. Rzeczywiście Buturlin pisze (2. 417) że Victor przeszedł rosyjską granicę 1-go Września (20 Sierpnia).

Od Rudnickiego (Pis. Zbior. Wileń. 1862. 93) dowiadujemy się że w czasie pobytu Victora w Tylży 4-ty pułk stał w miasteczku Ragnit. Do Smoleńska zaś korpus Victora przyszedł według Sołtyka (388) 29 Września a według Buturlina (1. 316) 28 Września.

³²⁾ Smoleńsk był wzięty 17-go sierpnia, to jest półtora miesiąca do przyjścia korpusu Victora. O stratach polskiego korpusu mówi i krótko Brandt (I. 379). On pisze: „Das Korps allein hatte 60 Officiere und 2000 Unterofficiere und Soldaten todt und verwundet. Der General Grabowski, der Oberst Zawadzki, die Majore Dembicki und Potkowski waren gefallen, die Generale Zajoncdek und Krakowicki verwundet.

³³⁾ Dywizya Girard'a przysłała do Czaśnik 31-go października. Korpus ścigany wojskami Wittgenstejna był korpus Oudinot, który w skutek rany zdał nad nim dowództwo generałowi Legrand.

³⁴⁾ Ta pierwsza utarczka u Rossyan nazywa się bitwą pod Czaśnikami i była 31-go października. Było to przejście korpusu Legrand'a na prawy brzeg Uły, gdzie stał Victor. Ze strony zaś Victora nie było żadnych ruchów i cała utarczka ograniczyła się tylko artylleryjskim ogniem z stron obydwóch.

³⁵⁾ Tu jest mowa o rozbiciu awangardy Wittgenstejna pod dowództwem Generała Alexiejewa u wsi Aksioncy 13 listopada, lecz do tego Polacy nie należeli.

³⁶⁾ Ta bitwa nazywa się bitwą pod Smolańcami i była 14 listopada. Kapitan się pomylił, teraz bitwa nie ograniczyła się jedynie kanonadą; tutaj był krwawy bój o wieś Smolańcy. Pięć razy ona przechodziła z rąk do rąk. Victor opanował ją szósty raz i na ten raz dywizyą polską.

³⁷⁾ Rzeczywiście 5-go grudnia Victor raportował Bertier'owi, że jego ariergarda bardzo jest słaba. Rudnicki pisze (Cm. Pow. 3, 92), że nazajutrz, to jest 5-go grudnia, z pułku już i śladu nie było. Ale on przesadza. W ariergardę wielkiej armii postąpiła dywizya Loison'a, co była w tym celu wysłała z Wilna i zlużowała korpus Victora w ariergardzie tylko w Oszmianach, przeto kapitan Kozłowski i dywizya do której on należał, szła swobodnie nie trzy mile, lecz siedem.

³⁸⁾ Grygowicz Karól, zmarły 25 listopada 1855 r. w Kaliszu, wieku lat 73, lekarz, odbywał kampanię Napo-

leńską przez lat kilkanaście. Był szefem biura lekarskiego w komisji wojny za cesarza Aleksandra. W Pińczowie mieszkał lat 10, odwiedzał stale Busk przez lat kilkanaście i wydał opis mineralnych wód w Busku w 1849 r., na koniec był współpracownikiem „Tygodnika Lekarskiego;“ dwie biografie jego są w „Gazecie Warszawskiej“ 1856 r. nr. 12 i 67. (Encykl. Powsz. X. 851).

NB. Był starszym doktorem 4-go pułku Ks. Warsz. Wspomina o nim w swoim pamiętniku i Wincenty Hołownia (Cm. Pow. 2, 42). Był szefem biura rachunkowości służby zdrowia do roku 1831. Był ozdobiony krzyżem złotym polskim i kawalerem Legii honorowej.

³⁹⁾ W liście imiennój oficerów legionów polskich we Włoszech (Cm. Pow. 3, XXV) znajdujemy Jakubowskiego, szefa batalionu. Leonard Chodźko w swoim dziele: „Histoire des Legions Polonaises en Italie“ cztery razy wspomina Jakubowskiego, jako dowódcę artylerii fortu Saint-George w Mantui.

A zatem Jakubowski pochodzenia jest artyleryjskiego, chociaż dowodził pułkiem piechoty. W raporcie generała Sierakowskiego do jen.-leuten. Orłowskiego z obozu pod Życzynem dnia 21 lipca 1794 r. nr. 11 czytamy: „...Kapitan Jakubowski pomimo największej ochoty służenia krajowi swemu dla słabości oczu nie może iść z nami. Koniecznaby potrzebą było, aby mi obywatel generał jakiego sztabs oficera lub zdanego kapitana przysłał dla komenderowania parkiem.“ W rozkazie dziennym tegoż Sierakowskiego od tegoż 21 lipca powiedziano: „Ponieważ kapitan Jakubowski od artylerii kor. komenderujący parkiem zachorował, i tak iż słuźbie zadosyć uczynić nie może, przeto porucz. Klossowi zda komendę. Sam zaś winien jest opatrzyć sobie takie miejsce, gdzieby mógł dokładną o swoim zdrowiu powziąć kuracyą.“

Zdaje się, że Jakubowski pułkownik 7-go pułku, Jakubowski u Chodźki i Jakubowski, dowódca pułku u Sierakowskiego jest jedna i ta sama osoba.

Pod Ocuną Sułkowski z chorągwią w rękę wstrzymał cofających się Polaków i kto tylko pisać umie, każdy o tem pisał, i Polak i Francuz i Niemiec. Jakubowski pod tąż Ocuną to samo uczynił i nikt o tem ani słowa, oprócz autora. Sułkowski dworak i intrygant. Jakubowski prawy i szlachetny żołnierz.

⁴⁰⁾ Bogdanowicz (1, 22) pisze: „Vicekról z dywizjami polską Girard'da i francuzką Gerard'a wyszedł z Poznania 12-go lutego n. s. do Frankfurtu nad Odrą.“ Wyleżyński (Bib. War. 1844 r. 3, 505) pisze, że Vicekról opuścił Poznań 11-go lutego.

⁴¹⁾ Vicekról włoski opuścił Berlin 4 marca z rana (Wyleżyński). 27-go marca Prusy wydały Napoleonowi przez swego posła Krusemarka w Paryżu wojnę. (Bogdanowicz 1, 47).

⁴²⁾ 15 marca do oblężenia Spandawy byłznaczony niewielki oddział rosyjskiego generała Gelfrejcha; a 1-go kwietnia blokada poruczona była prnskiemu generał-majorowi Tümen z 1800 ludzi, który zajął miejsce Gelfrejcha, i z rosyjskich wojsk pozostawił przy sobie tylko 400 ludzi jazdy i leką baterję artylerji. Gelfrejch zaś poszedł do korpusu Wittgenstejna.

⁴³⁾ Bogdanowicz w swoim dziele (1. 532) unieszcza stan wojsk oblężonych w Spandawie. Jeden francuzki batalion 530. 129 liniowy batalion złożony z Holendrów i Hiszpanów 500. Polskich wojsk 1,800. Trzy kompanie artylerji 260. Pociągu 50. Razem 3,140.

⁴⁴⁾ W mojej bibliotecze są dwa dzieła traktujące obszerniej o oblężeniu Spandawy, które jednakowo zdaje się czerpały z jednego i tego samego źródła. Wojenno-encyklopedyczny Lexicon wziął swój artykuł „Spandau“ z Militair Conversation Lexicon. Bogdanowicz ma się rozumieć czerpał także z niemieckich źródeł. I Bogdanowicz i Lexicon piszą tylko o jednym szturmie a Kozłowski o dwóch, ten szturm o którym teraz wspominał Kozłowski, to jest szturm z pozarem w mieście był 20 kwietnia.

⁴⁵⁾ Powiedzieć w jaki dzień nastąpiła kapitulacja Spandawy jest bardzo trudnem. Każde źródło inną ofiaruje datę up.: Cmentarz Powązkowski T. 3 str. 116 powiada że kapitulacja była 17 kwietnia. Bogdanowicz (1. 134) 21 kwiet. Pochwisniew (2, 99) 24 kwiet. Schlosser (VIII, 258) 25 kwiet. Milit.-Conver.-Lexicon 26 kwiet. Wyleżyński (515) 27 kwiet. Gubernator, jenerał Bruni i garnizon w liczbie 244 oficerów i 2986 żołnierzy wymógł sobie prawo iść za Elbę.

⁴⁶⁾ Labaume 1. 166 pisze: Bruni kapitulował na tych samych warunkach jak i garnizon Torunia, lecz przechodząc Hewelberg z swoim garnizonem on zaledwie nie był zamordowany przez uzbrojonych chłopów tego powiatu. Lecz waleczny pułkownik Gurjew rozpędził zbuntowane tluszcze.

Żołnierz z 9-go pułku Księstwa Warszawskiego w swoich przygodach mówi tak: „....złożywszy wszystkie ładunki — lecz wyszliśmy z bronią, pod konwojem ułanów moskiewskich konnopolcy zwanych, a pruska piechota o jeden marsz za nami.“ Żołnierz ma rację. Wyżej było powiedziano że Spandawę oblegali Prusacy. Rosyan zaś było tylko 400 ludzi jazdy. Jazdę tę stanowiło: Nieżyńskiego pułku kon. strzelców 120 l. Polskiego pułku ułanów 200 l. Kozaków 80 l. Lekka bateria. Widocznie że konnopolcy konwojowali garnizon Spandawy.

Dalój żołnierz w swoich przygodach mówi: „Przyšliśmy do Brunzswigu, gdzie było czternaście tysięcy Francuzów. Konwój moskiewski się cofnął, a my dziewięć dni wypoczęwszy dążyliśmy do Kassel. Ztąd do Erfurtu.

⁴⁷⁾ Szarlatan Fiéffé w swoim dziele „Histoire des Troupes étrangers au service de France 2, 135 pisze: „Ces corps (tj. te trzy pułki) furent réorganisés a Wittenberg, le 3 juillet 1813, par le général Lapoype, et on y adjoignit le 2 régiment d'infanterie du grand-duché.“

Tutaj Fiéffé mówi połowę prawdy, a drugą połowę kłamie. Z Fiéffé można się zgodzić, że pułk był zreorganizowany w Wittenbergu, bo tak mówią Kozłowski, Rudnicki

i żołnierz 9-go pułku. Że organizatorem był Lapoype, to także nie dziwnego, bo on był gubernatorem Wittenberga. Że reorganizacja była 3-go lipca na to także znajdzie dowody. Lecz dowódcą pułku był Cichocki i pułk nazywał się 4-tym. O tem przekonywają nas pamiętniki Kozłowskiego i Rudnickiego. Reorganizacja zaś 2-go pułku z pułkownikiem Szymanowskim miała miejsce w Wetzlar pod dozorem marszałka Mortier przy końcu kwietnia 1813 r.

⁴⁸⁾ Dowodem tego jest Feliks Ryłski, który dowodził batalionem w 1-szym regimencie grenadyerów francuzkich. Lecz widać, że nie wszyscy oficerowie byli pomieszczeni w pułkach francuzkich. Jenerał Stanisław Wojczyński odbył kampanią w Niemczech dowodząc dwoma kompaniami honorowemi, złożonemi z wszystkich oficerów nadkomendnych. 7-go pułku kapitan Paweł Głogowski był umieszczony w tej gwardyi 2-go lipca 1813 r., tj. w wigilię reorganizacji pułków 4-go, 7-go i 9-go czyli raczej w dzień tej reorganizacji, bo najpewniej, że rozkaz o niej nastąpił na drugi dzień, tj. 3-go lipca, jak napisał Fieffé. Wypada dodać tutaj moje przypuszczenie, że ten nowy pułk dla tego odebrał nazwę 4-go a nie 9-go, bo ten ostatni utracił swoje chorągwie w gruzach Szpandawy, jak o tem pisał Kozłowski. 9-ty pułk miał prawo dać swój numer nowemu pułkowi, bo był najliczniejszy, ale chorągwie były pogrzebane.

⁴⁹⁾ Zawieszenie broni było zawarte początkowo do 20-go lipca, lecz później na zasadzie umowy Napoleona z Metternichem w Dreźnie 30-go czerwca, ono było przedłużone do 10-go sierpnia.

Rudnicki w swoim pamiętniku pisze (Cm. Powąz. 3, 93), że z Magdeburga ich pułk powrócił do Wittenberga 20-go sierpnia. Z Magdeburga do Wittenberga 70 wiorst, przeto maszerować 6 dni, to coś zadługo.

⁵⁰⁾ Leonard Chodźko w swoim dziele „Histoire des Legions Polonaises en Italie“ T. 1, str. L. podaje nam stan ówczesnej dywizyi jenerala Dąbrowskiego w taki sposób: Szef sztabu: pułkownik Ignacy Mycielski, dowódzca brygady

piechoty: generał brygady Edward Żółtowski, 2-gi pułk piechoty: pułk. Szymanowski, 14-ty pułk piechoty: pułk. Malinowski. Brygada jazdy. Dowódca brygady: jen. bryg. Krukowiecki, 2-gi pułk ułanów: pułk. Rzodkiewicz, 4-ty pułk ułanów: pułk. Kostanecki. Dowódca konnej baterii: szef szwadronu Jan Szwerin.

⁵¹⁾ Mając zamiar zwyciężyć Blüchera, Napoleon posłał swoje wojsko do Düben trzema kolumnami 9-go października. Prawa: korpusy Bertranda, Macdonalda, Sebastyani i dywizya Szastela szła na Mökron. Średnią kolumnę pod dowództwem Neyą stanowiły: dywizya Dąbrowskiego, jazda Fournier, 3-ci i 7-my korpusy piechoty; kolumna ta szła do Düben prawym brzegiem Muldy. 3-cia kolumna złożona z korpusu Marmont'a i dywizyi jazdy Lorge'a szła do Düben lewym brzegiem Muldy. Gwardya i jazda Latour-Mobourg'a i Kellermana (Polacy) szła za średnią kolumną. (Bogd. 2, 392.) 10-go października Napoleon doszedł do Düben. (Tamże 396.) 11-go października Napoleon posłał Elbę korpusy: 7-my Reigner do Wittenberga i 3-ci pod dowództwem Neyą do Dessau. Chociaż później (str. 403), ale zawsze Bogdanowicz mówi, że Dąbrowski szedł razem z Reignerem. Lecz to wiadomo i bez Bogdanowicza, tylko oni szli nie na odsiecz Wittenberga, jak tylko powiedział Kozłowski, ale to była demonstracya zagrożenia Berlinowi i po drugie: zburzenie mostów na Elbie od Wittenberga do Barbi.

⁵²⁾ Z Düben ruszyli 11-go października. Do Wittenberga od Düben 30 wiorst, przeto do Wittenberga łatwo przyszliz tego samego 11-go października wieczorem.

⁵³⁾ I żołnierz z 9-go pułku Księztwa Warszawskiego w swoich przygodach mówi o tem kilka słów: „Prusacy mieli piękny obóz, nawet się okopali od strony miasta. My jednak w nocy na nich uderzyli. Takeśmy wpadli niespodzianie, że brano oficerów w koszulach, którzy klęcząc wołali pardonu. Zrobił się popłoch. Wszystko zmykało co żywo. Noc była ciemna, wtedy się tylko rozjaśniło, gdy ognia dawano — tak gnaliśmy ich do rana.“

⁵⁴⁾ Bogdanowicz (2, 397) opisuje to w taki sposób: „Jenerał Reigner przeszedłszy przez Wittenberg, zmusił Tümena zrejterować się do Rosslau, gdzie pruski oddział 12-go października przyłączył się do wojsk Tauenziena, który zburzywszy most w Rosslau, ustąpił razem z Tümenem w nocy na 13-go października do Zerbsta. Strata pruskich wojsk w walce przeciwko potrójnym nieprzyjacielskim siłom, dochodziła do ośmiuset ludzi (500 u Tauenziena i 300 u Tümena), lecz forsowne marsze kosztowały ich daleko więcej. Tauenzien obawiając się, aby nieprzyjaciel nie uprzedził go w Berlinie, szedł i przyszedł do Poczdamu w nocy z 14-go na 15-go października.“

Gdzie zaś te straty ponieśli Prusacy, Bogdanowicz nie pisze, lecz to można powiedzieć: najprzód pod Wittenberg i potem jeszcze przy wzięciu szturmem miasta Köswig i mostów w Rosslau, jak podpowiada nam stan służby Stanisława Trębickiego w Cmentarzu Powązkowskim (2, 189).

⁵⁵⁾ Friedrich von Smidt autor „Geschichte des Polnischen Aufstandes und Krieges in den Jahren 1830—1831“ i wielu innych dzieł, w których on dowiódł, do jakiego stopnia można kłamać kiedy dobrze płacą, miał zwyczaj zyskiwać łaski u takich rosyjskich ludzi jak Toll, Liewen, Berg Warszawski, Nesselrode i inni. Wyjednał on sobie także łaski u barona Löwensterna dymisyowanego jenerała rosyjskiego. Löwenstern polecił Smidtowowi wydać swoje pamiętniki i w 1858 r. w Heidelbergu u Wintera wyszło dzieło pod tytułem: „Denkwürdigkeiten eines Livländers aus den Jahren 1790 bis 1815. 2 Bde.

Dzieło to w moim ręku nie było. Lecz ono było przetłomaczone na rosyjski język i już przetłomaczone dostatem. Dziwnym przypadkiem ten Löwenstern spotkał się w swoim życiu z naszym kapitanem Kozłowskim i oto właśnie następuje chwila ich zejścia się. I jeden i drugi pozostawili swoje pamiętniki i piszą o swoim spotkaniu. Kto z nich mówi prawdę, niech sądzi każdy kto chce.

⁵⁶⁾ Wintzengerode niecierpliwie oczekiwał mojego powrotu. Dowiedziawszy się o odmownej odpowiedzi komendanta, rozkazał w ten moment atakować przedmieścia. Baterie już gotowe posłały im swoje surowe przywitania. Potem rzucili się jegry i bój wszczął się w ulicach przedmieścia. Z wałów nam odpowiadali gorąco i francuzka artylerya zamilkła tylko z nastąpieniem nocy; przedmieście pozostało w naszym ręku!!! Nasze wojsko zaczęło się w niem lokować, lecz w miarę jak ciemność przybywała, ono było wywiedzione i obozowało w polu. W czasie boju, kiedy rozmawiałem z Wintzengerode, karabinowa kula trafiła w mój płaszcz i zaplątała się w składkach surduta koło samego ciała. Dziwnym przypadkiem pułkownik Kazicki, jak się później okazało, był zacepiony kulą w tym samym czasie i takim samym sposobem.

Baron Wintzengerode zatrzymał się we wsi, na Rejmskiej drodze. Pierwsza wiązka słomy, która mi trafiła pod rękę, posłużyła za łoże, na które rzuciłem się zmęczony i mocno spałem godzinę, gdy mnie obudził adjutant i zawołał do generała. U niego zastałem radę wojenną: oprócz samego Wintzengerode tutaj się znajdowali: Worońcow, Stroganow, Orurk, Benkendorf i Renni. Od Blüchera była otrzymana wiadomość, że on mocno ciśniony nieprzyjacielem, rejteruje się na Soissons, i że tą przeprawą przez Enę powinno opanować koniecznie, chociażby szturmem. Rada wojenna postanowiła szturmować, lecz wprzód chcieli ostatecznie spróbować namówić komendanta do kapitulacyi. To zostało mnie poleceniem. Opowiedzieli mi trudne położenie Blüchera, dali pełnomocnictwo zawrzeć kapitulacją takiego rodzaju, jaka się okaże możebną, a głównie polecali spieszyć się, by ukończyć sprawę do wschodu słońca. Ja pozwoliłem sobie zauważyć, że jeżeli mnie nie przyjęli w dzień, to tem bardziej w nocy nie przyjmą. „Nie! odrzekł Wintzengerode, Francuzi dosyć nasłuchali się naszej artyleryi i teraz pana usłuchają.“ Inni generałowie i osobiwie Worońcow tyle mi powiedzieli pochlebnego o mojej zdolności przekonywania, o zręcznem

wykonaniu podobnych poleceń i nakoniec tak wystawili przedemną konieczność zakończyć sprawę ze zgodą, nie tracąc tysięcy ludzi, że wziąłem na się to trudne zadanie, chociaż z najlepszą chęcią, lecz bez wielkiej nadziei. Według zwyczaju dali trębacza i oprócz niego wziąłem z sobą swego wernego kozackiego podoficera Żelatincowa.

⁵⁷⁾ W oryginale na tej stronnicy, gdzie kapitan mówi o Domkiewiczu, leżał świstek papieru, na którym było napisano: „Domkiewicz, sierżant z kompanii 1-szej wołtyżerów, a teraz w korpusie weteranów.

⁵⁸⁾ Noc była ciemna i dżdżysta. Tylko co zbliżyłem się do nieprzyjacielskich placówek, wystrzały się posypały jeden za drugim, pomimo tego, że trębacz nie przestawał trąbić. Nakoniec natrafiłem na pikiet, przy którym był oficer. On poznał we mnie parlamentarza, przyjął mnie grzecznie i przeprosił za swoich żołnierzy. Rzeczywiście ciemność była tak wielka, że oko nie widziało ręki. Kiedym objawił o życzeniu mojem rozmówić się z jenerałem Moro i pokazałem do niego list, oficer odpowiedział, że on nie może przyjąć na siebie ani roli pośrednika, ani przyjąć listu, bo ma najsurowszy rozkaz niedopuszczać parlamentarza. Oficer był jeszcze młody bardzo człowiek, nader przyjemnej powierzchowności, nadzwyczajnie grzeczny i uprzejmy. Po takiej odpowiedzi tylko pozostawało wracać do domu; lecz do tego nie czułem najmniejszej chęci, starałem się przedłużyć mój pobyt jakimby to nie było sposobem. W stanie podobnym do mego, wypada korzystać z najmniejszej okoliczności. Przyszło mi na myśl poprosić młodego i grzecznego oficera o łyk gorzałki. I powiedziałem: „Po tych słowach, com słyszał od pana, wypada mi jechać napowrót, lecz noc zimna i wilgotna, to jabym życzył rozgrzać się. Pan, dobry towarzysz, nie odmówi mi kilku kropel likieru.“ Z temi słowami wyjąłem z kieszeni podwójny Napoleonder i prosiłem młodego człowieka posłać do miasta po likier albo wino. Za fatygę posłanemu dodałem pięciofrankową monetę. Dobroduszny oficer zgodził się i posłał wołtyżera do miasta. Rachuba moja zasadzała się na

tem, że żołnierza będą się dopytywać u bramy miasta, odprowadzą do oficera od warty i potem słuch dojdzie i do komendanta. Nadzieja mnie nie zawiodła. Woltyżer pobył w mieście z godzinę i przyniósł wina i maraskinu. Ja wypilem trochę tego i drugiego, poczęstowałem oficera i bliższych do niego żołnierzy, aby utrzymać ich w dobrym humorze, lecz robiłem to wszystko powoli, nabijałem fajkę, paliłem ją i gawędziłem z usłużnym Polakiem. Czekałem sądząc, że który z naczelników przyjedzie obejrzyć placówki i spojrzeć, co się tam robi z nieprzyjacielskim parlamentarzem. Oczekiwania moje były napróżne i chciałem już odjechać. Nakoniec pokazał się oficer, niby to dla przeglądu placówek, chociaż jego adjutantska forma świadczyła przeciwnie. Nadzieje moje ożyły. Zaraz wstąpiłem z nim w rozmowę, wspomniałem o naszych dwóch korpusach, dotknąłem przykrego położenia garnizonu i nie tałem, jaki okropny dzień wejdzie nad Soissonem, jeżeli nie zwrócą uwagi na moją propozycję. Adjutant wysłuchał mnie z uwagą i kiedy pokazałem, że chcę odjechać, poprosił mnie poczekać jeszcze minutę, by zameldować komendantowi moje przybycie. Ukrywając moją radość, dodałem adjutantowi list od Wintzengerode do Moro. Adjutant wkrótce powrócił i w imieniu generała Moro oświadczył, że mogę być wpuszczony do miasta, jeżeli według zwyczajów wojennych pozwolę sobie zawiązać oczy. Zgodziłem się na wszystko i z zawiązanymi oczami wsiałem na konia, którego poprowadzili dwaj żandarmi. W taki sposób wjechałem do Soissons, nie mogąc nic widzieć, bo oczy były mocno zawiązane. Kiedym usłyszał jak opuścił się most za mną, to już byłem przekonany, że moje polecenie wykonane zostanie. Wkrótce znalazłem się przed generałem Moro w jego mieszkaniu, gdzie były zebrane na radę wojenną różne naczelne osoby. Moro trzymając list Wintzengerode w ręku, zaczął mówić o niemożności myślenia nawet o kapitulacji, tak jak on dowodził dużym i walecznym garnizonem, a wały były zaopatrzone w dostateczną ilość dział. Ja odpowiedziałem, że przy waleczności Francuzów, wiadomój całemu światu,

nikt nie wątpi w możebność świetnej obrony, co wczoraj było dowiedzionem na wycieczce, lecz ta waleczność w każdym przypadku nie może być długa: przed fortecą stoją łsy w dziesięć, w dwadzieścia razy większe. Życzyć walczyć przy takich warunkach, będzie nie odwagą — ta powinna być właściwa każdemu wojskowemu, — lecz upartość nieobliczona z okolicznościami. Robić prózną ofiarę z ludzi bynajmniej nie jest obowiązkiem wojskowego, który usunąwszy się od koniecznej zguby, może się zachować dla przyszłej równej walki. „Bądź pewny, panie jenerale, — mówiłem dalej, — że za godzinę albo dwie po mojem wyjściu z tego pokoju, będziemy w téj fortecy, choćby wypadało wejść po trupach i ruinach. A zguba tylu walecznych ludzi, reprezentantem którym pan służy, mnie osobiście zmartwiłaby do saméj duszy. Pomyślcie panowie, szturm nie bitwa, w bitwie biorą do niewoli, przy szturmie wszystko pada pod mieczem, miasto i obywatele robią się ofiarą gwałtu i grabieży. Aby wzbudzić żołnierzy trzeba im obiecać sowitą nagrodę.“

Słowa moje i dowody zrobiły wpływ. Na twarzach obecnych wyczytałem indécision et émotion. Potwierdzały się głosy o kapitulacyi i tylko jeden pułkownik Kazicki powstał przeciw kapitulacyi. On, ma się rozumieć, mało myślał o losie Soissons i jego mieszkańców, rządził się tylko głosem obowiązku, nie można było nie szanować jego mężstwa i w duszy oddawałem mu sprawiedliwość. Szczęściem, naczelnika Wiślańskiego legionu, wywołano z pokoju wskutek tego, że między jego żołnierzami wszczęła się krwawa walka; gdyby Kazicki pozostał w pokoju, to swoim przeciwnictwem zburzyłyby całe moje sztuczne budowanie. Korzystając z jego nieobecności, położyłem mój zegarek na stole i prosiłem obecnych zakończyć sprawę w dziesięć minut, albowiem mnie kazano było spieszyć się i wyszedłem do sąsiedniego pokoju. Po skończonym czasie wróciłem do pokoju, gdzie zasiadała rada. Jenerał Moro wziął mnie na stronę i objaśnił, że on ze swojej strony gotów jest poddać się do kapitulacyi, przyjmując za zasadę wszystkie okoliczności, lecz tak jak sposób

myślenia Napoleona powinien mnie być wiadomym, to kapitulacya nie może być inna, jak tylko honorową. Przeciwnie zaś, dodał komendant, ja lepiej zginę pod ruinami swoich bastyonów. Po takim zeznaniu prędko skończyłem resztę warunków, i zostały zakończone w kwadrans. Pozwalałem garnizonowi wolne wyjście z bronią, bagażami i dwoma działami na drogę prowadzącą do Compiègne. Jenerał żądał sześciu armat, co się nie zgadzało z obyczajami przyjętymi na wojnie, lecz ją ustąpiłem i w tym punkcie ma się rozumieć po niejakiem oporze, aby nie pokazać się zanadto dobrym, dodając, że oddaję sześć armat przez wzgląd na osobisty mój szacunek dla komendanta i na moją odpowiedzialność.

Powróciwszy do swojego obozu, przyznałem się Wintzengerode, że w jednym punkcie przestąpiłem jego instrukcyę pozwolewszy Moro uprowadzić z sobą sześć dział. Wprzód nim Wintzengerode na to odpowiedział, Woronów zawołał: „Co tu gadać o sześciu armatach, pan mogłeś mu dodać jeszcze naszych sześć.“

⁵⁹⁾ Nie był to Płatow, najprzód, że on po francuzku nie mówił, a po drugie w obecnej chwili on się znajdował pod Sezan. Najpewniej to był sam Wintzengerode albo Woronów. Reszta jenerałów korpusu Wintzengerode byli bez głosu.

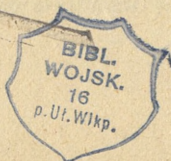
⁶⁰⁾ Rudnicki (Cm. Pow. 3, 99) pisze: „Nad rankiem cesarz Napoleon zwiedzając pozycyę, ujrzał pulk nasz stojący w pogotowiu do boju, a wiedząc, że przez nas wieś wziętą szturmem była, przez co mosty na rzece obronione zostały, rozkazał podać sobie listę oficerów i żołnierzy, którzy przy wzięciu jęj najmężniej walczyli i tym tak krzyże legii honorowej jak i zjednoczenia zaakordował“

Biblioteka Wojskowa 16 p. Ul. Wlkp.

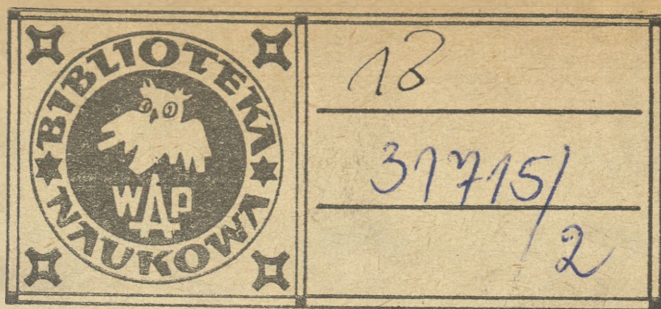
Nr. inw. 478

~~BIBLIOTEKA ŻOŁNIERSKA
16/2 P. UL. WLKPY~~

478



CBW
Wplyw nr. 17 rok 47
Nr. wot. 158



Naj

J. K. ŻUPAŃSKIEGO.

- Falkowski**, Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce i Litwie. Tom V. . Mk. 7—
- Gawalewicz Marian**. „O Nięj.” Nowelle. (w druku).
- Kozłowski**. Historia 1-go potem 9-go pułku W. Ks. Warszawskiego. (w druku).
- Lelewel Joachim**. Dzieła, t. X. Panowanie Stanisława Augusta Pomatowskiego. Nowe wydanie. (w druku).
- Mickiewicz**, Konrad Walleprod. Wydanie ozdobne miniaturowe z ilustracyami. (w druku).
- Ostatnie chwile powstania styczniowego, przez **Z. L. S.** tom II. III. i IV. (w druku).
- Pamiętka pogrzebu J. I. Kraszewskiego . Mk. 1.30
- Panowanie Stanisława Augusta przez **M. Z.** (w druku).
- Pol Wincenty**. Pieśń o ziemi naszej. Wyd. ozdobne z ilustr. Kossaka. opr. . . . „ 6.—
- Pułaski**, Szkice i poszukiwania historyczne. „ 5.—
- Repiniana**. Zbiór oryginalnych depesz z rządem francuzkim, tyjących się rozbioru Polski, a znajdujących się w archiwum ministerstwa spraw zagran. w Paryżu. 3 t. (po franc.) (w druku).